

Laura Leone

Tropikalna noc

Rozdział 1

Znalazła go o świcie. Z twarzą zanurzoną w mokrym piasku leżał tak blisko wody, że fale omywały mu nogi. Idąc wzdłuż brzegu, była tak oczarowana widokiem przepastnych wód Morza Karaibskiego wzburzonego po nocnym sztormie, że nie zauważyła leżącej na ziemi postaci. Potknęła się.

– Och! – wykrzyknęła.

Upadła wprost na nieruchome ciało.

– Hej, Doc! – zawołał Luke Martinez. Nie potrafił dotrzymać jej kroku i, jak zwykle, pozostał w tyle.

Z trudem uniosła się i zsunęła na piasek. Dopiero teraz zobaczyła, o co się potknęła.

– Och! – jęknęła.

– Hej, Doc! – krzyknął znów Luke. Z daleka zobaczył, że się przewróciła. Zaczął szybko biec w jej stronę.

– Och, mój Boże!

Ogarnęła ją panika.

– Doc, czy coś ci się stało? – Zaniepokojony Luke dopadł wreszcie miejsca, w którym się znajdowała.

– Och, mój Boże! – powtórzyła.

Podniosła się i popatrzyła na ziemię. U jej stóp leżał mężczyzna. Martwy lub nieprzytomny. Dziwnie wygięty, mokry i oblepiony piaskiem. Dojrzała poraniony kark i szyję.

– *Santa Maria!* – wykrzyknął Luke na ten widok, a po chwili dodał z przyganą w głosie: – Mówiłem ci przecież, Doc, żebyś tak wcześnie rano nie chodziła nad morze.

Popatrzyła na chłopca. Dziesięcioletni Luke z uporem towarzyszył jej wszędzie. Postanowił się nią opiekować i chronić przed złymi mocami. Duchami piratów, morskimi potworami, straszidłami, *duendes* i jadowitymi wężami. Dziś jednak zobaczył coś, czego nawet mimo bujnej fantazji nie potrafił sobie wyobrazić. Nieruchome ciało nieznanego mężczyzny. Był to dla chłopca widok niesamowity, bo na wyspę prawie nigdy nie docierali cudzoziemcy.

– Żyje? – zapytał przerażony.

– Nie wiem – odparła Cherish. Instynktownie pragnęła udzielić pomocy nieprzytomnemu mężczyźnie. Bała się jednak dotknąć trupa. Otrzymała wprawdzie

staranne akademickie wykształcenie, a nawet uzyskała doktorat, ale nikt nigdy jej nie nauczył, jak postępować w podobnych sytuacjach.

– Jeśli nie wiesz, to sprawdź – powiedział Luke.

Zagryzła wargi, pochyliła się i drżącymi palcami dotknęła żyły na szyi mężczyzny. Po chwili wyczuła puls. Silny i miarowy. Odetchnęła z ulgą.

– Żyje – stwierdziła.

– Kto to jest? Skąd wziął się tutaj ten człowiek?

– Nie wiem.

Mężczyzna miał na szyi koło ratunkowe. Ono to sprawiało, że leżał w dziwacznej pozycji. Lewą ręką przyciskał do boku jakiś przedmiot. Nie mogła dojrzeć, co to jest.

– Pewnie podczas sztormu fala zmyła go z pokładu – powiedziała do Luke’a. Poprzedniego dnia oraz przez całą noc fale sztormowe biły o brzeg i wyrzucały na wyspę różne przedmioty. – Ma szczęście, że przeżył.

– To niemądry człowiek. Jak można kąpać się lub – żeglować podczas takiej okropnej pogody! – Chłopiec nie był w stanie zrozumieć postępowania nieznajomego – Miał wypadek. Musiało się zdarzyć coś nieprzewidzianego. Pomóż mi przewrócić go na plecy.

Twarzą do góry.

Oboje zaczęli ostrożnie ciągnąć mężczyznę za ramię. Z trudem zdjęli mu z szyi koło ratunkowe i ułożyli go równo na piasku.

– Widzisz, Doc! – wykrzyknął Luke, spoglądając na nieruchomą postać.

Cherish rzuciły się w oczy niemal równocześnie dwie rzeczy. Krwawiąca rana na lewym ramieniu, częściowo zakryta strzępami koszuli, i wypchany, pluszowy królik, zwykła dziecinna zabawka, którą mężczyzna przyciskał kurczowo do siebie.

Rana wyglądała na zadaną nożem.

– To nie są ślady zębów rekina – stwierdził Luke, pochylając się nad leżącym i oglądając jego ramię.

– Masz rację.

Odchyliła podartą, zakrwawioną koszulę mężczyzny. Chciała się przekonać, jak głęboka jest rana. Musiało go to zboleć, gdyż nagle drgnął i jęknął głośno. Zamrugał powiekami i otworzył oczy. Były szare jak niebo nad ich głowami, jeszcze zaciągnięte chmurami po sztormie.

– Proszę się nie bać. Wszystko będzie dobrze. Już jest pan bezpieczny – szepnęła Cherish uspokajająco do leżącego.

Zobaczyła wyraz ulgi na ściągniętej bólem twarzy mężczyzny. Rozchylił sine

wargi. Próbował coś powiedzieć. Przysunęła się bliżej.

– Czy pan coś mówił? – zapytała.

Z wielkim wysiłkiem ponowił próbę. Bezskutecznie. Wreszcie udało mu się wyszeptać pytanie:

– Kim pani jest?

– Jestem Cherish Love.

– Cherish Love – powtórzył. – Patrzył przez chwilę na pochyloną nad nim kobietę. I ku jej ogromnemu zaskoczeniu, zdobył się na lekki uśmiech. – Miłość. Z pewnością nią jesteś – szepnął i stracił przytomność.

Posłała Luke'a do wsi po pomoc. Wrócił dziesięć minut później, prowadząc z sobą dwóch mężczyzn. Wysokich, barczystych rybaków o ciemnobrązowej skórze, odziedziczonej po afrykańskich przodkach. Cherish odniosła wrażenie, że fakt, iż znalazła nad brzegiem morza nieprzytomnego cudzoziemca, uznali za jedno z jej małych dziwactw, na które zwykle przymykali oczy. Wzięli na ręce bezwładne ciało i zanieśli do chaty, w której mieszkała.

– Trzeba się nim zająć – powiedziała do chłopca, gdy tylko rybacy wykonali swoje zadanie i odeszli. – Luke, będzie mi potrzebna pomoc twojej babki.

– Pójdę jej poszukać – zaofiarował się chłopiec i pędem wybiegł z chaty.

Została sam na sam z nieznanym. Nieprzytomny mężczyzna spoczywał na jej łóżku. Zabarwiona krwią, zapiaszczona słona woda zniszczyła bezpowrotnie pościel. Cherish zabrała z nad morza koło ratunkowe, które nieznanemu miał przy sobie, i mokrego, wypchanego królika. Trzymała go palcami za ucho i oglądała z odrazą. Plusz puścił farbę i różowa woda ściekająca z królika kapłała na jej jasną bluzkę. Odłożyła zabawkę na stos gazet. Koło ratunkowe oparła o ścianę. Przedtem jednak na zniszczonej powierzchni z trudem odcyfrowała zatarty napis: „Lusty Wench”.

– Sądząc po nazwie, można założyć, że nie jest to jednostka marynarki Stanów Zjednoczonych – z przekąsem mruknęła pod nosem, wychodząc z izby, która służyła jej za sypialnię. Mała chata, złożona tylko z dwu pomieszczeń, stała na skraju wsi. Cherish wynajęła ją od dziadka Luke'a.

Zamyślona, przeszła do drugiej izby. Czy „Lusty Wench” to jacht? A może statek wycieczkowy? Na te pytania nie potrafiła odpowiedzieć.

Mimo że na wyspie nie było elektryczności, Cherish miała w chacie bieżącą wodę. Mogła mieć nawet gorącą, dzięki zbiornikom z gazem, wymienianym co kilka tygodni. Czekają ją teraz trudne zadanie. Musiała zająć się nieprzytomnym

mężczyzną. Napełniła wiaderko ciepłą wodą i wyciągnęła z szuflady parę czystych szmatek. Zniosła wszystko do izby, w której leżał mężczyzna. Stała przy łóżku i zaczęła mu się przyglądać.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że stan nieznajomego jest zły. Oprócz groźnie wyglądającej rany na ramieniu miał wiele innych obrażeń. Pewnie jest ich jeszcze więcej pod grubą warstwą mokrego piasku, pomyślała Cherish. Policzek mężczyzny przecinała długa, świeża blizna. Miał podbite lewe oko i pokaleczoną skórę na twarzy. Wszystko to jednak nie potrafiło ukryć faktu, że był młody. I bardzo przystojny.

Wyraziste i regularne rysy twarzy wskazywały na dobre, a może nawet arystokratyczne pochodzenie. Miał prostokątną szczękę, wydatne kości policzkowe, prosty, kształtny nos i szerokie, zmysłowe usta. Nie golił się od co najmniej dwóch dni. Świadczył o tym ciemny zarost na twarzy. Ale Cherish dostrzegła inne szczegóły, które wskazywały na to, że mężczyzna był przed wypadkiem człowiekiem dbającym o swój wygląd. Jego faliste, brązowe włosy były krótko przystrzyżone. Miał dobrze utrzymane ręce, z długimi palcami i wypiełgnowanymi paznokciami. Twardy naskórek dłoni wskazywał jednak na to, że nie stronił od pracy fizycznej.

Strój mężczyzny, mimo że skąpy, bo złożony ze strzępków koszuli i zniszczonych szortów, był dobrej jakości. Na ręku Cherish zobaczyła zegarek. Bardzo kosztowny, oceniła. Odpięła go i zdjęła z ręki leżącego. Pod paskiem ujrzała dziwną ranę. Podłużną, biegnącą wokół nadgarstka. Podobną do tej, którą już wcześniej zauważyła na drugim ręku.

Obejrzała dokładnie zegarek. Na kopercie zobaczyła napis: „Kochanemu Ziggy’emu od Catherine”.

Cherish spojrzała na potężne, umięśnione ciało mężczyzny. Ziggy? Z niesmakiem odłożyła zegarek. Może to tylko zdrobnienie, którego prawie nigdy nie używa, mimo woli usiłowała usprawiedliwić nieznajomego. Ziggy to było bardzo pretensjonalne imię.

Usiadła na brzegu łóżka, nożyczkami rozcięła do końca postrzępioną koszulę i zdjęła ją z nieruchomego ciała. Mężczyzna pozostał tylko w krótkich spodenkach. Jedną z przyniesionych szmatek umoczyła w ciepłej wodzie i zaczęła obmywać piasek z pokaleczonego torsu.

Tak, jest przyzwyczajony do pracy fizycznej, uznała. Miał dobrze rozwiniętą klatkę piersiową, umięśnione ramiona i nogi. Musiał ponadto dużo przebywać na powietrzu. Jego silne ręce były ogorzałe od słońca. Przemyciała teraz dłonie i

palce. Pod warstwą przylepionego piasku odkryła dalsze obrażenia. Musiała zadać mężczyźnie ból, gdyż nagle zaczął jęczeć i niespokojnie się poruszać. Nie mogła jednak przerwać swego przykrego zajęcia. Trzeba było oczyścić rany. Przytrzymała więc mocno rękę, którą usiłował wyswobodzić.

Ponownie otworzył oczy. Popatrzył na Cherish nieprzytomnym wzrokiem.

– Boli? – spytała.

Usiłował nabrać powietrza do płuc i skrzywił się z bólu.

– Tak.

– Jest pan bardzo pokaleczony. – A może ten człowiek ma jeszcze jakieś obrażenia wewnętrzne?

pomyślała nagle. Ogarnęło ją przerażenie. Nerwowo przełknęła ślinę. Z trudem się opanowała. Musiała uspokoić nieznanego. – Proszę się nie martwić.

Pomogę panu – dodała mniej pewnym głosem. Zastanawiała się, na ile zda się jej opieka, jeśli rzeczywiście stało mu się coś złego.

Najpierw zobaczył potargane, faliste rude włosy, a potem szeroko rozstawione zielone oczy i smukłą, łabędzią szyję. Przeniósł wzrok niżej. Wodził teraz oczyma po kształtnych, pełnych piersiach, widocznych pod bluzką. Dostrzegł wąską talię i zgrabne uda. Młoda kobieta miała na sobie krótkie szorty. Była prześliczna.

Czując na sobie badawczy wzrok mężczyzny, Cherish zakręciła się nerwowo. Kiedy skończył inspekcję i ponownie spojrzał jej w oczy, zobaczyła zdumienie malujące się na jego twarzy.

– Czy... Czy jestem w niebie? – zapytał po chwili.

– Nie. Jest pan na wyspie Voodoo Caye – odrzekła zaskoczona.

– Och. – Zmarszczył brwi i powiedział powoli:

– Cherish Love.

– Tak.

– Czy jest pani boginią? Potrząsnęła głową i roześmiała się.

– Nie. Ani kapłanką.

Odetchnął głębiej i zacisnął palce na jej dłoni, tak jakby znów silniej dolegał mu ból.

– Czuję się okropnie – wyznał.

– Nic dziwnego. Proszę postarać się zasnąć, a ja...

– Hej, Doc! Babcia obiecała, że zaraz przyjdzie! – Luke z krzykiem wpadł do chaty.

Leżący mężczyzna obrzucił go wzrokiem. Na widok dużego krzyża namalowanego niebieską farbą na czole chłopca ze zdumienia rozszerzyły mu się

oczy. Cherish też była zaskoczona wyglądem Luke'a.

– Czy już umieram? – cicho spytał chory.

– Nie – odparła szybko. – Ten krzyż ma chronić Luke'a.

– Przed czym?

– Przed tobą – z rozbrajającą szczerością odrzekł chłopiec. – Babcia mówiła, że ten znak strzeże przed złymi duchami.

– Przecież jeszcze mnie nawet nie widziała – powiedział nieznajomy.

– Daj spokój, Luke. Męczysz chorego. Stań na warcie przed domem i poczekaj tam na babcię. – Cherish wzrokiem odprowadziła chłopca aż do drzwi, a potem spojrzęła na leżącego. Zobaczyła, że zasnął. A może zemdłał? Nie miała pojęcia, jak to rozpoznać. Czekając z niecierpliwością na przyjscie babki Martinez, nadal w miarę swych skromnych możliwości opatrywała mężczyznę. Wciąż zaciskał palce na dłoni Cherish. Jego ręka stawała się coraz cieplejsza. Chyba wreszcie zaczął odzyskiwać normalną temperaturę. Nie wysunęła dłoni z uścisku, chcąc dodać mu otuchy.

Westchnął i powoli odwrócił na bok głowę. Cherish bezwiednie zaczęła odgarniać sztywne od soli kosmyki włosów z twarzy mężczyzny. Przytrzymała rękę na pulsującej żyłce na szyi, świadoma kontrastu między gładką skórą na karku a stwardniałym naskórkiem dłoni.

Zaskoczona swą reakcją, szybko wysunęła drugą rękę z dłoni leżącego, wstała i odeszła od łóżka.

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia, że tkwią w niej jakieś macierzyńskie uczucia. Jej stosunek do tego mężczyzny wynikał jedynie z typowej dla każdej kobiety chęci niesienia pomocy komuś, kto jest chory, samotny i całkowicie bezradny. W żadnym razie nie mógł zrobić na niej wrażenia widok pięknego mężczyzny leżącego na łóżku!

Odetchnęła głęboko i zabrała się do przerwanego zajęcia. Zanurzyła szmatkę w ciepłej wodzie i zaczęła energicznie usuwać piasek i ślady zaschniętej soli z ramion chorego. Delikatnie obmyła pokaleczone przeguby rąk. Nagle uprzytomniła sobie, że są to rany od sznura. Czyżby na jachcie wplątał się w ożaglowanie i liny przecinały mu skórę?

Cherish bezwiednie reagowała na bliskość tego mężczyzny. Nie mogła oderwać od niego oczu. Wreszcie zmusiła się, żeby przestać mu się przyglądać. Zaczęła dociekać, kim jest. Była przekonana, że ma przed sobą Amerykanina. Świadczył o tym jego akcent. Co więcej, mimo że powiedział dotychczas niewiele, była pewna, iż jest człowiekiem wykształconym. Ukończył jakiś elitarny uniwersytet na

Wschodnim Wybrzeżu? A może tylko nauczył się naśladować wymowę ludzi z wyższych sfer? Cherish miewała już do czynienia z tymi obydwoma rodzajami mężczyzn i za każdym razem z trudnością ich rozróżniała.

Znów popatrzyła na leżącego. Powinna teraz umyć i opatrzyć mu plecy, ale sama nie dałaby rady go przewrócić. Zaczęła czyścić brzegi rany na ramieniu, ale natychmiast nerwowo się poruszył. Odłożyła więc szmatkę w obawie, że zrobi mu jakąś krzywdę.

W tym momencie weszła do chaty babka Martinez. Cherish odetchnęła z ulgą.

– A co my tutaj mamy? – zapytała stara kobieta ze śpiewnym akcentem Garifuna, czarnoskórych mieszkańców Karaibów, którzy do Środkowej Ameryki przywieźli z sobą własny język. Po angielsku mówili w specyficzny sposób.

– Och, babciu! Jak dobrze, że już jesteś! – wykrzyknęła Cherish.

Wyciągnęła rękę w stronę pani Martinez, która zbliżyła się do łóżka. Mimo posiwiałych włosów, pokaźnej tuszy i gęstej sieci zmarszczek pod oczami, miała nadal piękną twarz. Młodość opuściła tę kobietę dawno temu, ale wewnętrzny spokój i siła ducha sprawiały, że jej twarz jaśniała radością, a ciemne oczy skrzyły się inteligencją. Cherish bardzo ceniła mądrość babki Martinez i była szczęśliwa, że ma ją teraz przy sobie.

– Co mu jest? – spytała stara kobieta, spoglądając na leżącego.

– Ma głęboką ranę. O tu, na ramieniu. Poza tym odniósł wiele obrażeń. Może nawet wewnętrznych! Nie wiem, co robić. Nie umiem mu pomóc! – powiedziała zgnębiona Cherish.

– Uspokój się, Doc. Nie panikuj – odparła pani Martinez. – W przeciwnym razie przysporzysz mi kłopotów. Zamiast jednego pacjenta będę miała dwóch.

– Babciu, czy mogę popatrzeć na to, co będziesz mu robiła? – zapytał Luke. Nie zauważony wsunął się cicho do pokoju.

Pani Martinez pozwoliła mu zostać. Była zdania, że chłopak powinien uczyć się życia.

– Trzeba zdjąć mu majtki – oświadczyła, przyglądając się leżącemu mężczyźnie. – Kto wie, co w nich jest.

– Ależ... Przecież nie możemy... – Cherish zaczęła się jąkać. Nie udało się jej powiedzieć nic sensownego.

Babka Martinez spojrzała na młodą kobietę. Na widok jej przerażonej miny głośno się roześmiała. Zdecydowanym krokiem podeszła do łóżka i zaczęła ściągać z chorego szorty. Spłoniona Cherish odwróciła wzrok. Wiedziała, że trzeba rozebrać nieznanego. Spodenki były mokre i brudne. Cała ta sytuacja bardzo ją

kępowała. Zdawała sobie sprawę z tego, że reaguje jak pensjonarka.

– Niczego mu w majtkach nie brakuje. Wszystko jest na miejscu – z udaną powagą, lecz z roześmianymi oczyma oświadczyła babka Martinez. – Ma wszystko, co trzeba, a nawet więcej. Znacznie więcej – dodała, chichocząc.

– Ależ babciu, gdyby teraz się ocknął, byłby zawstydzony – zaprotestowała Cherish.

Stara kobieta potrząsnęła głową.

– Nie masz racji, Doc. Mężczyźni lubią być podziwiani.

– Ja nie lubię – wtrącił się Luke.

– Za dziesięć lat zmienisz zdanie – odparła babka. – Jeśli poznasz wówczas taką dziewczynę jak Doc, będziesz chciał, aby cię podziwiała. Możesz mi wierzyć, chłopcze, że tak właśnie będzie.

Cherish odważyła się wreszcie rzucić okiem na łóżko. Mężczyzna miał wspaniałe ciało. W pełni obnażony, wyglądał doskonale. I bardzo podniecająco. Spłoniona, odwróciła wzrok.

– Zrobiło się tutaj gorąco – powiedziała babka Martinez. – Może powinien cały czas leżeć nago.

– Nie. Okryj go – wyrwało się Cherish.

Stara kobieta bez słowa spełniła jej prośbę. Na obnażone biodra mężczyzny zarzuciła róg cienkiego prześcieradła. A potem usiadła na brzegu łóżka i zaczęła starannie oglądać pacjenta.

– Co z nim? – spytała zaniepokojona Cherish.

– Jest bardzo potłuczony. Zdrowo oberwał, ale – chyba nic poważnego mu się nie stało. Zdumiewające, że od tej głębokiej rany na ramieniu nie wykrwawił się na śmierć. Widocznie krew zdążyła zakrzepnąć, zanim znalazł się w morzu. – Sięgnęła po wiaderko i w ciepłej wodzie zwilżyła czystą szmatkę. – Musiał mocno uderzyć się w głowę. Popatrz, Doc, ma tu potężnego guza. A widziałaś rozbite kolano? Przez kilka dni nie będzie mógł chodzić. Muszę teraz oczyścić mu ranę na ramieniu. Mężczyzna ocknął się, zajęczał z bólu i znów zemdlał. Po chwili jednak otworzył oczy.

– Czy musi pani to robić? – zapytał nagle zdumiewająco wyraźnie.

– Muszę – odparła babka Martinez.

Przyjrzał się jej uważniej.

– Byłem przekonany, że zobaczę kogoś innego. Szałową dziewczynę.

– Mówisz o Doc?

– Powiedziała, że nazywa się Love. Miłość? – szepnął cicho. – To niemożliwe.

Musiało mi się przywidzieć. Byłem chyba nieprzytomny.

– Chodzi ci o Doc. Jest tutaj – odparła babka Martinez. Przesunęła się w bok, żeby chory mógł dojrzeć młodą kobietę. – Leżysz na jej łóżku. Będzie się tobą opiekowała.

Na zbiegających od bólu wargach mężczyzny ukazał się lekki uśmiech.

– A więc jestem w raju.

– Zadbamy o to, żebyś był – zapewniła babka Martinez.

Zabrała się z zapalem do przemywania rany. Przedtem poleciła Cherish i Luke'owi, żeby mocno przytrzymali leżącego. Przyszło im to z trudnością. W gruncie rzeczy byli zadowoleni, kiedy ponownie stracił z bólu przytomność. Po dokładnym oczyszczeniu rany babka Martinez zszyła ją równym ścięciem, używając do tego celu jedwabnych, czerwonych nici. Cherish zrobiło się niedobrze. Całym wysiłkiem woli jednak się opanowała. Wstydziła się starej kobiety.

Potem babka Martinez odśpiewała jakąś dziwną pieśń, spaliła przyniesione z sobą pióra i nad łóżkiem zawiesiła amulet. Zostawiła leki, pouczyła Cherish, jak ma postępować z chorym, i poszła do domu. Obiecała zaparzyć zioła kojące ból i przeciwzapalne.

Cherish została sama z chorym. Spał spokojnie, oddychając głęboko i równo. Babka Martinez ostrzegła ją jednak, że wieczorem pacjent może dostać wysokiej gorączki.

Czysty i opatrzony, wyglądał znacznie lepiej niż poprzednio. Jest bardzo przystojny i atrakcyjny, pomyślała młoda kobieta, patrząc na leżącego. Nasunęła prześcieradło na jego obnażone uda i nadal mu się przyglądała. Miała nadzieję, że za kilka godzin obudzi się i powie, kim jest, a także wyjaśni, jak to się stało, że podczas sztormu znalazł się na morzu.

Odczuwał na przemian lęk i ból. Z potworną siłą wysokie, wzburzone fale uderzały nim o poszycie łodzi.

Boże, dlaczego znalazłem się w wodzie?

Muszę uciekać. Za wszelką cenę.

Lodowata, czarna otchłań ciągnęła go w dół. Utonie z pewnością. Tak więc tamci ludzie nie będą musieli go wykończyć. Zrobi to za nich potężny żywioł.

Znów całym ciałem uderzył o kadłub łodzi. Poczul ból. Potworny ból. Głowa. Głowa. Tak bardzo boli go głowa...

Czy wiedzą, że nadal znajduje się obok łodzi? Czy przestali już go szukać? Czy

wołali: człowiek za burtą!? Człowiek za burtą!? Wiedzieli, że w takich warunkach nie przeżyje w morzu ani godziny.

Uciekać? Spróbować odpłynąć czy unosić się na falach i udawać trupa?

Za wszelką cenę musi utrzymać pluszowego królika. I koło ratunkowe. Musi mieć przy sobie obie te rzeczy. To szansa. Jedna. Jedyna.

Boże, ten straszny ból! Jeszcze chwila, a zginie. I nie będzie wcale musiał udawać, że się utopił. Żeby poszedł na dno, wystarczy jeszcze jedno zachłyśnięcie się słoną wodą, jeszcze jedno uderzenie ciałem o łódź, jeszcze jedna kropla krwi z otwartej rany...

Strach. Potworne, obezwładniające uczucie. Ze strachu tracił zmysły. Morze było pełne drapieżników. Ile czasu upłynie, zanim któryś z nich poczuje krew i zaatakuje bezbronną ofiarę?

Boże, żałuję popełnionych grzechów. Żałuję wszystkich złych uczynków. Ale czy zasłużyłem na taką śmierć? Mam się utopić lub zostać pożarty przez podwodne bestie?

Och! Znow potężne uderzenie o łódź sprawiło, że zaczął niemal tracić przytomność.

W tym momencie jednak coś się w nim przełamało. Powziął decyzję. Póżywy, z głową pękającą od bólu i krwawiącym ramieniem, popchnął przed siebie twarde koło ratunkowe i z całych sił rzucił się na nadpływającą falę. Zrobił to drugi raz. I trzeci. Powtarzał wiele razy. Musi odpłynąć. Musi uciec jak najdalej od łodzi! Zginie, lecz nie da im satysfakcji, że go zabili.

Jak daleko może być ląd? Z trudem udało mu się przesunąć koło przez głowę i nadal płynął, przyciskając do boku pluszowego królika.

Tracił energię. Stawał się bezradny. Nawet największa siła woli nie wystarczy, aby walczyć dłużej. Co lepsze, zastanawiał się, utonąć czy zginąć w paszczy rekina?

Muszę płynąć dalej. Za wszelką cenę. i – Muszę żyć! Muszę!

– Proszę się nie bać. Wszystko będzie dobrze.

– Nie! Nie!

– Jest pan bezpieczny.

Poczuł chłodne, miękkie ręce. Usłyszał łagodny, kobiecy głos.

– Nie! – Z gardła wydarł mu się następny jęk.

Z wysiłkiem otworzył oczy. Zobaczył nad sobą zaniepokojoną twarz. Czuł rozdzierający ból głowy i ramienia. Piekło całe ciało. Rwało kolano. Był zlany potem.

– Cherish! – wyjęczał. Pragnął poczuć obecność tej kobiety, jej miękką rękę na czole, odpędzającą koszmary.

– Tak. To ja... – szepnęła. – Wszystko w porządku.

Jest pan bezpieczny. Miał pan tylko przykry sen.

– Tak. – To piękna kobieta, pomyślał półprzytomnie.

– Jak pan się czuje? – spytała.

– Boli. Wszędzie boli.

– Babka Martinez twierdzi, że nie ma żadnych obrażeń wewnętrznych. Można jej wierzyć. Ona się na tym zna. Zaparzyła specjalne zioła. Czekalam, aż pan się obudzi. Zaraz je podam.

– Ona się na tym zna? – powtórzył zaskoczony.

– Ona? – Zamrugał oczyma. – Przecież to pani jest lekarzem. Tamta kobieta mówiła do pani: „Doc”.

Cherish lekko się uśmiechnęła.

– Tak mnie tu nazywają. To rzeczywiście skrót od „doktor”, ale lekarzem nie jestem. Zajmuję się antropologią. Nie mam pojęcia o medycynie. Umiem tylko przykleić plaster na palcu.

– Ach tak. – Spodobała mu się ta kobieta. Była śliczna. Zauważył, że ma pełne piersi, wąską talię, długie, smukłe nogi i przepiękne rude włosy. Takiej zjawiskowej istocie mógł z powodzeniem darować nieznajomość medycyny. – Cherish...

– Proszę nic nie mówić. Powinien pan odpoczywać. Skrzywił się boleśnie.

– Dobrze. Dziękuję, Doc. Uratowałaś mi życie. Uniosła brwi.

– A jak pan się nazywa? – spytała.

Nagle ogarnęło go przerażenie. Poczuł pustkę w głowie. Nie potrafił udzielić odpowiedzi na to pytanie.

– Nie wiem – odparł głuchym głosem.

Rozdział 2

– Ma gorączkę – stwierdziła babka Martinez, oglądając pod koniec dnia nieprzytomnego, rzucającego się na łóżku pacjenta.

– To głupi człowiek, jeśli nawet nie pamięta, jak się nazywa – z pogardą powiedział Luke.

– Chyba powinieneś iść spać – Cherish zwróciła się do chłopca. Była już zmęczona wyjaśnianiem mu, na „czym polega chwilowa amnezja.

– Czy od dawna jest taki niespokojny i rozgorączkowany? – spytała stara kobieta. Zamyśliła się. Zamknęła oczy. Przez cały czas jej dłonie spoczywały na czole mężczyzny.

– Od mniej więcej trzech godzin. Od chwili, w której stwierdził, że nie potrafi przypomnieć sobie własnego nazwiska. Zaczął się rzucać. Usiłował nawet wstać z łóżka. Właśnie wtedy zaczęła znów krwawić rana na ramieniu. Żeby się uspokoił, dałam mu trochę ziołowej herbaty. Zaraz potem osłabł i ponownie zasnął. Co z nim będzie? – z niepokojem w oczach zapytała Cherish. – O czym świadczy to jego zachowanie się?

– Może świadczyć o wielu różnych rzeczach – enigmatycznie odparła stara kobieta.

– Co jeszcze mogę zrobić dla niego?

– Ma zmącony umysł, ale ciało silne i zdrowe.

Pomożemy mu. Zobaczysz, zaczniesz szybko zdrowieć.

Poleciała Cherish obmywać ciało mężczyzny gąbką nasączoną zimną wodą. Co pół godziny. Dopóki nie spadnie gorączka. I dawać do picia napary z ziół, które przyniosła.

– Doc, będziesz miała ciężką noc – na pożegnanie powiedział Luke.

– Wrócimy z samego rana – obiecała babka Martinez.

Całe ciało płonęło. Koszmary zakłócały sen, a przebłyski świadomości nie przynosiły żadnego wytchnienia. Bardzo dokuczały mu ramię i kolano. Najgorszy był jednak ból głowy. Rozsadzał czaszkę. Czy ktoś uderzył go kijem od baseballu lub innym ciężkim narzędziem?

Śniło mu się znów morze. Przepastne, zimne i czarne. Walczył z falami. Słyszał grzmoty. Deszcz padał tak ulewny, że stracił wyczucie kierunku. „Najbardziej jednak bał się rekinów i barakud. Wiedział, że nawet z dużej odległości przyciągnie

je zapach człowieka. I kiedy nagle otarło się o niego coś zimnego i śliskiego, zaczął miotać się na łóżku.

– Nie! – wykrzyknął ogarnięty panicznym lękiem.

Otworzył oczy. Odetchnął z ulgą. Był bezpieczny.

Leżał na łóżku. Znów zobaczył tę samą kobietę, co poprzednio. O białoróżowej cerze, jak na obrazach Rubensa. O zielonych, kocich oczach. I krągłych piersiach – tak pełnych, że miał ochotę wtulić w nie twarz. Kiedy pochylała się nad nim, czuł na policzku dotyk jedwabistych włosów. Wdychał ich zapach. Pojedyncze pasemka drażniły wargi.

Zdjęła okrywające go prześcieradło. Powiew chłodnego powietrza uprzytomnił mężczyźnie, że jest nagi. A ta kobieta dotykała go. Zimną wodą obmywała całe ciało.

– Anielska pieszczota – szepnął. Nie mógł więcej powiedzieć. Miał suche gardło i wyschnięty język.

Usłyszawszy te słowa, Cherish drgnęła i popatrzyła na twarz leżącego.

– Spał pan pięć godzin.

W rękach kobiety zobaczył mokrą szmatkę.

– A pani przez cały czas zajmowała się mną? W odpowiedzi skinęła głową.

– Jaka szkoda, że tego nie czułem. – Westchnął.

– Proszę nie przerywać swojego zajęcia.

Umoczyła szmatkę w wiaderku, wyżęła i położyła mu na piersiach. Poczuł błogosławiony chłód.

– Co panu się śniło? – spytała.

– Czy to oznacza, że teraz nie śnię? – Przy blasku świec piękna kobieta omywała mu ciało, a ponadto twierdziła, że dzieje się to na jawie! Roześmiał się i natychmiast poczuł silny ból. Jęknął.

– Uraziłam pana?

– Nie. Nic a nic – zapewnił szybko. Obawiał się, że dobra wróżka przestanie się nim zajmować i zaraz go opuści.

– Jeśli nie sprawiłam panu bólu, to znaczy, że wszystkie żebra są w porządku.

Aby przytrzymać głowę, do policzka przyłożyła mu chłodną dłoń. Delikatnie obmyła czoło.

– Rzucił się pan na łóżku i krzyczał przez sen – powiedziała. Odwróciła wzrok od jego twarzy.

Czuł lekki dotyk jej piersi. Było mu dobrze.

– Co panu się śniło? – zapytała po chwili. Westchnął. Milczał.

– Musiało to być coś okropnego. Ale co? – nalegała, chcąc usłyszeć odpowiedź. Wyteżył umysł. Usiłował sobie przypomnieć swój sen.

– Dobrze nie wiem. Chyba śmierć, rekiny, jakaś burza na morzu... – Nic więcej nie potrafił wydobyć z pamięci. Zaczęło mu huczeć w głowie. Poczuł silny ból. – Och! – jęknął. Zamknął oczy i przycisnął pięść do czoła.

– Niech pan się nie męczy.

– Ale dlaczego nie mogę sobie niczego przypomnieć? – Zamilkł. W jego głowie waliły teraz bębny. Ból ponownie rozsadzał czaszkę. Mężczyzna odsunął pięść od czoła i otworzył oczy. W tym momencie na przegubie dłoni zobaczył krwawą pręgę. Obejrzał drugą rękę. Wyglądała identycznie. – Do licha, skąd się to wzięło? – zapytał gniewnym głosem.

– Niczego pan nie pamięta?

– Nie. – Ze zdumieniem patrzył na poranioną rękę.

– To wygląda jak...

– Jak ślady po sznurze – podpowiedziała mu Cherish. – Był pan związany?

Poruszył się niespokojnie.

– Mam rany od liny? – zapytał zaskoczony.

– Babka Martinez powiedziała, że szybko się zagoją.

– Ma pani na myśli tę kobietę, która odprawiała tu jakieś czary? Śpiewała i paliła pióra?

– Tak. Ona jest *buye*, to znaczy szamanką.

– Nabiera mnie pani.

– Nie. Mówię poważnie.

– Jak można w dzisiejszych czasach zajmować się czymś takim!

– Ma dar widzenia tego, czego nie dostrzega zwykły śmiertelnik. Nie znam wszystkich szczegółów. Jest to jedno z wielu zagadnień, które tutaj badam. Jako antropolog. Interesują mnie Garifuna.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Podobnie jak większość ludzi. – Z rozjaśnioną twarzą Cherish zamierzała niezwłocznie przystąpić do wykładu. – Są...

– Wiem. Fascynujący – dokończył niecierpliwie.

– Do licha, gdzie my właściwie jesteśmy?

– Na Voodoo Caye.

– W jakim kraju?

– W Belize.

Ze zdumienia aż uniósł głowę.

– W Belize? – powtórzył.

– Tak. To kraj leżący pomiędzy Meksykiem a Gwatemalą. Na samym wybrzeżu. W Środkowej Ameryce – dodała.

– Wiem, gdzie to jest – warknął. Opuścił głowę na poduszkę. Zatopił wzrok w suficie. – Ale co ja tu robię?

– A gdzie powinien pan teraz być?

– Nie wiem. – Był zdenerwowany. – Jestem tubylcem?

– Nie. Sądzę, że jest pan Amerykaninem.

– Dzięki Bogu – odetchnął z ulgą.

– Nadal nie przypomina pan sobie własnego nazwiska?

– Nie. – Poruszył się niespokojnie. – To przecież idiotyczne! – Zamknął oczy. – Mam je na czubku języka. Zaraz się pani przedstawię.

– A może pamięta pan inne rzeczy? Rodzinę? Skąd pan pochodzi i gdzie mieszka? Czym pan się zajmuje? Co robił pan na morzu podczas sztormowej pogody?

Usiłował myśleć. I znów zaczęło mu huczeć w głowie. Szorstkim głosem odparł:

– Nie pamiętam. Nic.

Zobaczył, że Cherish wstała i podeszła do komody. Co taka ponętna kobieta tutaj robi? Na odludziu, w prymitywnej chacie? Dlaczego jest sama?

Stanąła znów przy łóżku. Podała mu jakiś przedmiot. Zegarek.

– Miał go pan na ręku.

– To kosztowne cacko. Warto dwanaście lub trzynaście tysięcy dolarów.

– Skąd pan wie? Zna pan wartość tego zegarka?

– Oczywiście. – Zamrugnął oczyma. – Jest mój?

– Chyba tak. Proszę obejrzeć napis.

– „Ziggy”? – odczytał z niedowierzaniem w głosie.

– To niemożliwe! Czy wyglądam na faceta, który nosi tak okropne imię?

– No cóż – wzruszyła ramionami – będziemy musieli w ten sposób zwracać się do pana, dopóki nie odzyska pan pamięci.

– Ziggy – powtórzył z niesmakiem.

– A imię kobiety? Czy zna pan jakąś Catherine?

Potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. W każdym razie musi mnie bardzo kochać, skoro obdarowała tak kosztownym prezentem.

– Jeśli kocha, to z pewnością zacznie pana szukać.

– Cherish poczuła nagle, że ma już dość tej rozmowy.

Podniosła się z ławeczki stojącej obok łóżka.

– Chyba że zginęła podczas sztormu – głuchym głosem powiedział mężczyzna.

Z niepokojem popatrzyli na siebie.

– Co zrobimy? – zapytał. – Czy może pani zadzwonić do ambasady amerykańskiej lub morskiej straży granicznej czy innej instytucji w tym rodzaju?

– Nie. Na Voodoo Caye nie mamy nawet radia. Gdy tylko poprawi się pogoda, poproszę kogoś z rybaków, żeby zawiózł mnie na ląd. Będę mogła zatelefonować z Rum Point.

– Świetnie. Dziękuję ci, Cherish.

– To żaden kłopot, Ziggy.

– Ziggy – powtórzył z wyraźnym i nie ukrywanym niesmakiem.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedziała, kładąc mu rękę na czole. – Nadal masz gorączkę. Dam ci jeszcze naparu z ziół, żebyś mógł zasnąć.

Zapadając w sen zastanawiał się, czy gdzieś na świecie istnieje inna kobieta, której dłonie działają na niego tak cudownie. Uspokajająco, a zarazem podniecająco.

Drzemała w rogu izby, na drewnianym krześle. Mężczyzna miał niespokojny sen. Przewracał się na łóżku i z twarzą wykrzywioną strachem od czasu do czasu coś krzyczał.

Gdzieś w środku nocy Cherish obudził głośny jęk. Ziggy usiłował wstać z łóżka. Zobaczyła, że jest nieprzytomny.

– Kładź się – powiedziała donośnym głosem.

Nie posłuchał. Złany potem i mówiąc coś bez składu, próbował stanąć na nogi. Musiało zboleć go chore kolano, bo krzyknął z bólu.

Cherish poderwała się z krzesła i podbiegła do łóżka.

– Ziggy! – Złapała mężczyznę za ramiona i zaczęła nim potrząsać. Bezskutecznie.

– Królik – powiedział zduszonym głosem. – Królik.

– Co za królik? – zapytała odruchowo. Od razu jednak przypomniała sobie pluszową zabawkę. – Zaraz ci go przyniosę. Połóż się, proszę.

– Muszę iść. Muszę iść – bełkotał nieprzytomnie. Tak silnie odepchnął Cherish, że całym ciałem uderzyła o komodę.

– Do diabła, uspokój się wreszcie! – krzyknęła z gniewem. Nie miała siły, aby położyć chorego do łóżka. Czy powinna pobiec do Martinezów i prosić o pomoc?

Ziggy zaplątał się w prześcieradło. Cherish zobaczyła, że się przewraca. Zareagowała instynktownie. Rzuciła się, aby go podtrzymać. Była silna i dobrze zbudowana, nie sądziła jednak, że ten mężczyzna jest aż tak ciężki. Przewrócił się, przygniatając ją całym ciałem.

– Udusisz mnie! – wykrzyknęła, padając na podłogę.

Chorego nagle opuściły siły. Leżał oddychając ciężko. Przytulił twarz do jej szyi.

– O Boże! O Boże! – jęczał.

Cherish nie wiedziała, czy jest przytomny, czy nie. Co mu się stało? Zaczęła głaskać Ziggy’ego po głowie. Chciała go uspokoić. Jeśli zaśnie, może uda się jej wciągnąć go z powrotem na łóżko.

– Ciii... – szepnęła. – Nie bój się. Nic ci nie grozi.

Jesteś bezpieczny.

Leżał na niej. Przez cienką, bawełnianą bluzkę czuła pot spływający mu po ciele. Znowu usłyszała cichy jęk:

– Och, Boże! Nie dam rady! Nie potrafię!

– Dasz radę – szepnęła uspokajająco. – Potrafisz.

– Wdychała zapach rozgrzanego ciała mężczyzny. Chyba nadal przeżywał wydarzenia poprzedniej nocy. Sztorm, walkę z żywiołem, myśl o grożącej śmierci.

– Nie bój się. Już jesteś bezpieczny.

Po chwili poczuła, że Ziggy odpręży się i jeszcze mocniej do niej przytula. Wziął Cherish za rękę, jakby tym gestem chciał ją przeprosić za swe zachowanie się, i nadal leżał bez ruchu.

– Lepiej się czujesz? – spytała.

Nie odpowiedział. Zsunął się nieco z jej ciała. Był słaby, ale przytomny.

– Ziggy? – szepnęła.

Kiedy rozpalone usta dotknęły szyi Cherish, poczuła przebiegający ją dreszcz. Zwilżył językiem suche wargi, prawie nie odrywając ich od jej skóry.

Zaczęła drżeć na całym ciele.

– Ziggy, zostaw mnie...

Nie miała siły, aby mu się przeciwstawić. Było jej dobrze.

Szepcąc coś do ucha Cherish, objął ją wpół. Straciła oddech, gdy ujął w dłoń jej pierś. Przytuliła się do niego.

– Tak – szepnął. – Tak.

Dotknął ustami jej warg. Dla Cherish pocałunek był upajający.

Nagle zorientowała się, że z ciałem Ziggy’ego dzieje się coś dziwnego.

Poczuła, że jest fizycznie podniecony. Zareagowała błyskawicznie. Jakimś cudem wydostała się spod niego. Sekundę później znalazła się w drugim końcu izby. Oparta o ścianę, stała na uginających się nogach. Oszołomiona patrzyła na leżące bokiem na ziemi nagie, pobudzone ciało mężczyzny.

Spotkały się ich spojrzenia.

Chyba jeszcze nigdy w swym dwudziestodzieciolatnim życiu Cherish nie była tak zszokowana. Ziggy przewrócił się na plecy. Nagi. Z zarośniętą twarzą. Pokierszowany. Z ciałem połyskującym drobnymi kroplami potu. I podniecony. Wyglądał jak rozpustny żołdak lub najemnik oddający się rozkoszy w domu publicznym. Dla Cherish był to okropny widok. Odrażający.

– O Boże! – jęknęła z rozpaczą.

Od samego początku powinna być ostrożniejsza! Nie wiadomo dlaczego uznała tego mężczyznę za bezradnego amerykańskiego turystę lub żeglarza. Przecież równie dobrze mógł być łazęgą, a nawet zbirem. W Ameryce Środkowej więcej jest ludzi tego pokroju niż drapieżnych zwierząt.

Zobaczyła, że Ziggy uważnie ją obserwuje.

– Nie martw się – powiedział po chwili z impertynenckim uśmiechem na twarzy. – Przez cały czas dobrze wiedziałem, że to ty. Nawet jeszcze zanim zaczęliśmy...

– To żadna pocięcha – przerwała mu szorstko.

Zauważyła, że ramię mężczyzny zaczęło znów krwawić. Wolałaby teraz walczyć z jaguarem niż zbliżyć się do tego okropnego człowieka, a co dopiero opatrywać mu rany! – Krwawisz – stwierdziła sucho.

– Mam nadzieję, że jakoś to przeżyję – odparł beztroskim głosem. Takiego tonu jeszcze u niego nie słyszała. Przyglądał się teraz Cherish z dziwnym żalem w oczach.

– Będę musiał wrócić do łóżka bez twojej pomocy? – zapytał unosząc brwi.

– Jakoś sobie poradzisz.

– Wolisz zostawić mnie na podłodze niż dotknąć choćby jednym palcem – stwierdził, lekko rozbawiony. Cherish miała ochotę go uderzyć. Jej niechęć do tego mężczyzny wzrosła wielokrotnie, gdy zaraz potem dodał: – Może pocieszy cię fakt, że dobrze całujesz. Świetnie.

– Przestań.

W oczach Ziggy'ego dojrzała złośliwe błyski.

– Zazwyczaj po dwóch lub trzech pocałunkach tak bardzo się nie podniecam.

Słowa te doprowadziły Cherish do furii.

– A wiec jednak jesteś w stanie coś sobie przypomnieć! – warknęła. – Pamiętasz, jak sobie poczynałeś z kobietami? Pamiętasz?

Oparł się na zdrowej ręce. Cherish zobaczyła, że nagle spowaźniał. Na twarzy Ziggy'ego odmalowało się napięcie. Musiała przyznać, że teraz wyglądał na człowieka cywilizowanego.

– Przez chwilę miałem wrażenie, że... – zaczął. – To, co robiłem, było znajome. Dotknięcie kobiecego ciała.

Podniecenie fizyczne. Wiem, że sypiałem z kobietami.

I to chyba często. – Spojrzał na Cherish i zaczął się śmiać.

– A jakie ty odniosłaś wrażenie, Doc? Czy wyglądałem na faceta, który wie, co robi?

– Może coś sobie przypomnisz, kiedy odpoczniesz – powiedziała lodowatym tonem.

– Pobawmy się jeszcze trochę. Może to pobudzi moją pamięć.

– Sądzę, że jesteś już nadmiernie pobudzony – syknęła ze złością. – Wracaj do łóżka. Podgrzeję ci trochę ziołowego naparu. Masz jeszcze gorączkę.

Z udawanym smutkiem powiedział:

– No cóż, jeśli mi nie pomożesz, chyba będę musiał sam się męczyć... – Westchnął głęboko.

Cherish uciekła szybko do małej kuchenki. Podgrzała zioła. Słyszała, jak w sąsiedniej izbie Ziggy coś wygaduje. Jęczał i kłął jak szewc. Była przekonana, że to przed nią tak się popisuje. Wlewając gorący napar do szklanki, myślała tylko o jednym. Kim, do diabła, jest Ziggy i co ona ma począć z tym człowiekiem.

Rozdział 3

Ziggy wypił nieco naparu z ziół, sporządzonego przez babkę Martinez, i zasnął. Miał już chyba mniejszą gorączkę. Cherish nie zamierzała jednak o tym się przekonywać. Dotykanie tego okropnego mężczyzny nie wchodziło w grę.

Nie mogła zasnąć. Po głowie błądziły jej różne myśli.

Nie była ani ślepa, ani naiwna. Zauważyła, w jaki sposób Ziggy przyglądał się jej w tych krótkich chwilach, w których odzyskiwał przytomność. Jak ją nazwał? Kociakiem i seksbombą. Te określenia nie przypadły jej wcale do gustu.

Nie było winą Cherish, że niemal wszyscy mężczyźni reagowali na jej widok identycznie jak Ziggy. Zauważali natychmiast pełny, kształtny biust, wąską talię, zaokrąglone pośladki, długie nogi, ogniste, rude włosy i zielone oczy. Gdy tylko skończyła czternaście lat, zaczęli ją zaczepiać i nagabywać na wszelkie możliwe sposoby. Bardzo ją to zraziło do płci brzydkiej.

– Liczy się tylko miłość – zwykła mawiać matka Cherish, wielka romantyczka.

– Córeńko, znajdź sobie człowieka, który pokocha cię miłością czystą i szlachetną. Znikną wtedy wszystkie twoje kłopoty, a życie stanie się piękne.

Matka nie powiedziała jednak, po czym Cherish ma poznać miłość czystą i szlachetną. Każdy chłopak ciągnął ją natychmiast na tylne siedzenie swego samochodu.

Ojciec mawiał córce:

– Kiedy spotkasz odpowiedniego mężczyznę, od razu go rozpoznasz.

– Ale w jaki sposób, tatusiu? – odważyła się kiedyś zapytać zdesperowana dziewczyna. Mając dziewiętnaście lat, ze strony mężczyzn doświadczała tylko samych przykrości. Obrzucali ją pożądanymi, namiętnymi spojrzeniami i obcesowo podrywali. – Jeśli chłopak, z którym się umówiłam, nawet nie podnosi głowy, tylko przez całą randkę gapi się na mój biust, jak mam zajrzeć mu w oczy? Skąd mam wiedzieć, o czym naprawdę myśli? Jak mogę się przekonać, czy jest dla mnie odpowiedni? – pytała dalej ojca.

Popełniła błąd. Ojcu nie mówi się takich rzeczy. Na ogół bardzo uważała, żeby mu nawet nie wspomnieć o niewłaściwym zachowaniu się chłopaków, z którymi się spotykała. Nie chciała, aby spędził resztę życia w więzieniu za wymordowanie większości jej kolegów.

– Kiedy się poznaliśmy, twój ojciec patrzył na mnie pożądanym wzrokiem – powiedziała matka, kiedy dwudziestojednoletnia Cherish skarżyła się, że wszyscy

znani jej mężczyźni myślą tylko o seksie.

– I ty zdecydowałaś się wyjść za niego? – zapytała zdumiona.

– Ach, to było takie romantyczne! – westchnęła pani Love.

– Mamo, wszyscy mężczyźni patrzą na mnie tak pożądliwie. – Przestała opowiadać matce o bezpardonowych podrywaczach. Uznała, że jest już zbyt dorosła na to, aby się chronić i wypłakiwać w opiekuńczych ramionach rodzicielki. Namiętne spojrzenia egzaltowana pani Love uznałaby zapewne za przejaw głębokiego, romantycznego uczucia. Ona to przecież nadała córce imiona Cherish Dear. Nie wystarczyło nazwisko Love, uzupełniła je jeszcze imionami oznaczającymi „uwielbiana” i „droga”. Przypominając sobie, jak się nazywa, za każdym razem Cherish dostawała gęsiej skórki.

Poczuła się lepiej dopiero pod koniec studiów. Uniwersytet stał się dla niej miejscem wytchnienia.

Oczywiście, spotykała tu mężczyzn. Ale wielu z nich, z głowami zaprzątniętymi nauką i różnymi teoriami, zwracało mniejszą uwagę na otoczenie i sprawy przyziemne. Kiedyś, przygotowując pracę magisterską, Cherish wybrała się na wykład. Weszła na salę. Profesor stojący na katedrze wziął ją za dziewczynę z zespołu towarzyszącego zawodnikom na meczach baseballu i chciał ją odesłać na salę gimnastyczną. Pocztą pantoflową dowiedziała się także, dlaczego nie dostała stypendium, które w pełni jej się należało. Uznano bowiem, że młoda kobieta o wyglądzie kociaka nigdy nie stanie się szanowanym antropologiem.

Z podobnego powodu przeszła Cherish koło nosa propozycja objęcia wykładów w Barrington College. Do tego zajęcia była wręcz stworzona. No cóż, jej życie potoczyło się innym torem.

Teraz krzątała się po małej kuchence w prymitywnej chacie na Voodoo Caye, stukając garnkami i pompując zawzięcie wodę ze zbiornika.

Była tutaj szczęśliwa. Przepelniało ją uczucie wdzięczności dla szefa. Był nim profesor Grimly Corridor, dyrektor instytutu w Belize. Był człowiekiem bardzo wymagającym, surowym i nie przestrzegającym żadnych konwenansów. Ale ekscentryczny starszy pan niezmiennie traktował Cherish jak wielu innych pracowników naukowych. Nigdy nie wytykał jej wyglądu, nie dyskryminował z tego powodu i nie kwestionował kwalifikacji zawodowych. A także nigdy jej nie podrywał. Nie dawał do zrozumienia, że jest za ładna, aby być mądra.

Cherish była w pełni kobietą i miała swoje potrzeby. Wychowana przez romantyczną matkę, wierzyła jednak w wielką miłość.

– Cherish, wyszłam za mąż za człowieka, którego nazwisko oznacza „miłość” –

mawiała często pani Love do córki, siedząc przy stole. – Znajdź sobie kogoś, kto cię pokocha.

– Dobrze, mamó – machinalnie odpowiadała dziewczyna. – Proszę, podaj mi ziemniaki.

Na ostatnim roku studiów magisterskich zdecydowała się na kochanka. Wybrała go z wielką starannością. Został nim nieśmiały student archeologii, którego podniecały wyłącznie znacznie starsze od niego kobiety. Głównie pochodzące ze starożytnego Egiptu, z mumifikowane dwa tysiące lat temu.

Taki kochanek niczym Cherish nie zagrażał. Był chłopcem układowym i spokojnym. Dbał o swą dziewczynę. U jego boku nudziła się jednak i po rozstaniu szybko o nim zapomniała.

Przypomniała sobie teraz jego ogromne zalety. Nigdy nie traktował jej jak maszyny do uprawiania seksu ani jak pustogłowego kociaka. Nie pociągnąłby Cherish za sobą na ziemię, nie przykryłby nagim ciałem i nie zaczął całować! Nigdy nie zachowałby się tak zuchwale!

Już ona pokaże Ziggy'emu, gdzie jego miejsce, i zmusi go, żeby się odpowiednio zachowywał, postanowiła Cherish. Musiała jednak przyznać, że ten mężczyzna ma w sobie coś, co ją pociągało. Niestety, był podrywaczem. Co do tego nie miała wątpliwości. Ale jeśli nawet zechce ją uwodzić, i tak mu się to nie uda. Miała przecież prawie piętnastoletnie doświadczenie w odprawianiu natrętnych mężczyzn, którym się wydawało, że ponętna fizycznie dziewczyna myśli tylko o seksie i stanie się łatwą zdobyczą. Bez trudu więc poradzi sobie z jeszcze jednym młodym playboyem. Do tego chorą i z amnezją.

Myśli Cherish ponownie zaczęły krążyć wokół Ziggy'ego. Co sprawiło, że utracił pamięć? Kim jest dla niego Catherine? Co to za łódź o nazwie „Lusty Wench”?

Przyszła jej nagle do głowy okropna myśl. Co sama zrobi, jeśli amnezja nie ustąpi i ten mężczyzna w ogóle nie odzyska pamięci?

– Gdzie jest mój królik?

Na dźwięk tych słów, wypowiedzianych w pobliżu, drgnęła jak oparzona. Naczynie, które myła, wypadło jej z ręki. Odwróciła się w stronę drzwi. Zobaczyła stojącego w nich Ziggy'ego. Na szczęście, wokół bioder miał owinięte prześcieradło. Chroniąc chore kolano, opierał się o framugę. Dopiero teraz Cherish zdała sobie sprawę z tego, jaki jest barczysty i wysoki. A przy tym zuchwały i pewny siebie.

– Nie śpisz? – spytała.

– Hałasy, które wyczyniasz, trzaskając garnkami, pewnie już postawiły na nogi wszystkich mieszkańców wyspy.

– Humor ci nie dopisuje? – spytała z przekąsem.

– Gdzie jest mój królik?

– Twój?

– Tak. Mój – powtórzył Ziggy z rosnącą niecierpliwością. – Wiem, że miałem go przy sobie, kiedy znalazłaś mnie nad morzem. Gdzie teraz jest?

– Chyba go... – Cherish usiłowała sobie przypomnieć, gdzie położyła mokrą zabawkę.

Zobaczyła, że Ziggy zbladł nagle.

– Wyrzuciłaś? – spytał chrapliwym głosem.

– Nie. Już wiem! – Znalazła królika tam, gdzie go – wczoraj położyła. Na stosie starych gazet. Dwoma palcami wzięła pluszowego zwierzaka za długie ucho.

– Jest jeszcze mokry.

– Podaj mi go. Natychmiast.

– Uspokój się. Już wyrosłeś z dziecinnych zabawek.

– Skąd ta pewność? – warknął w odpowiedzi.

– Przecież nie wiesz, ile mam lat.

– Trzydzieści dwa? Trzydzieści trzy? – zgadywała.

Wzruszył ramionami.

– Jak tylko sobie przypomnę, nie omieszkam ci powiedzieć.

– Nadal nic nie pamiętasz?

– Pamiętam ostatnią noc. I to dobrze.

Zatopił zuchwały wzrok w twarzy Cherish. Z trudem odwróciła oczy.

– Po co ci ten królik? – spytała. – Jest okropny.

– Prawda, że strasznie brzydki?

Wypchany, pluszowy zwierzak był gruby i nieforemny. Różowy. Z białą, wykrzywioną mordką i okiem z guzika. Jednym, bo drugie gdzieś zgubił.

– „Wyprodukowano w Gwatemali” – Cherish odczytała plastikową etykietkę przyczepioną do ucha królika. – Dwa dni temu byłeś bliski śmierci. Dlaczego będąc w tym stanie, płynąc do brzegu podczas sztormu, ścisnąłeś w rękę tę koszmarną zabawkę?

– Żebym to ja wiedział!

– Może usiądziesz? Nie nadwężaj chorego kolana.

– Pomożesz mi wejść do środka? – zapytał mrużąc oczy.

– Dobrze – odparła, nie ukrywając niechęci.

Ziggy oparł się ciężko na ramieniu Cherish. Podeszli do stołu. Usiadł ostrożnie na twardym taborecie.

– Czy w tym domu nie ma nic wygodnego? Twoje łóżko jest gorsze niż Madejowe, a krzesła tak twarde jak w nowojorskiej poczekalni przed salą prób, gdzie godzinami przesiadują bezrobotni aktorzy, licząc na to, że znajdą jakąś robotę.

– Byłeś w Nowym Jorku? – spytała Cherish, zajmując miejsce po drugiej stronie stołu.

– Tak. Znam dobrze to miasto.

– Czy tam mieszkasz?

Potrząsnął głową.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Ale kiedy tylko zamykam oczy, widzę wyraźnie Nowy Jork. Empire State Building, gmach Organizacji Narodów Zjednoczonych, Centrum Światowego Handlu, Ośrodek Lincolna, Times Square, hotel Plaża...

– Przypominasz sobie coś jeszcze? Gdzie się zatrzymywałaś, jadałaś i robiłaś zakupy? Czy znasz kogoś, kto mieszka w Nowym Jorku? Może Catherine?

Zmarszczył czoło. Zaczął się zastanawiać. Po chwili jęknął z bólu i przycisnął dłoń do skroni.

– Za każdym razem, kiedy usiłuję coś sobie przypomnieć, zaczyna mnie boleć głowa. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego?

– Masz amnezję. Psychogenną. Czytałam trochę na ten temat.

– Amnezję psychogenną? To brzmi okropnie!

– Ten rodzaj amnezji polega nie na zaburzeniu świadomości, lecz na wymazaniu z pamięci niektórych faktów. Najczęściej są nimi przykre przeżycia. Na przykład silny uraz fizyczny, stan zagrożenia czy jakaś inna tragedia.

Ziggy spojrział na poranione ramię.

– Zgadza się – mruknął pod nosem. – Chyba przydarzyło mi się właśnie coś takiego.

– Przykre fakty twój umysł zatarł w pamięci. Ktoś zadał ci ranę nożem, o mało się nie utopiłeś, znalazłeś się w morzu podczas sztormu... Kto wie, co jeszcze – przeżyłeś? Wszystkie te informacje tkwią jednak w twoim mózgu. Głęboko, w podświadomości. Dlatego męczą cię koszmary senne.

Ziggy zamyślił się na chwilę, po czym z udaną obojętnością, która nie zwiódła Cherish, zapytał:

– Jak długo może potrwać taka amnezja?

– Nie wiem. Jest także możliwe, iż nigdy nie przypomnisz sobie wydarzeń

tamtej nocy.

– A co z resztą? Czy wróci mi pamięć o sobie?

– Podobno wraca. W większości przypadków. Byłoby ci łatwiej, gdybyś znalazł się w znajomym otoczeniu, wśród bliskich ludzi. Niestety, nie miałeś przy sobie żadnych dokumentów. Popłynę dziś na ląd i spróbuję telefonicznie czegoś się dowiedzieć. Z czym kojarzy ci się nazwa „Lusty Wench”?

– Co? – zapytał zdziwiony.

– Taki napis widnieje na kole ratunkowym, które z ciebie zdjęliśmy. Wszystko wskazuje na to, że wypadłeś z „Lusty Wench”. To nazwa jakiejś łodzi. Jeśli ją zidentyfikujemy, może uda się nam ustalić, kim jesteś.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Zobaczysz, niedługo wróci ci pamięć.

– Ale dlaczego nie zapomniałem o wielu innych rzeczach? Potrafię wymienić nazwy wszystkich stanów Ameryki Północnej i większości ich stolic. Pamiętam fragmenty sztuk Szekspira. Wiem, skąd się wzięła penicylina, że zburzono Mur Berliński i że George Bush nie został wybrany na następną kadencję. Dlaczego jednak nie potrafię przypomnieć sobie własnego nazwiska? „Lusty Wench”? Catherine?

Cherish zobaczyła, że Ziggy jest załamany, mimo że wyglądał na człowieka, który rzadko kiedy bywa bezradny. Było jej żal tego mężczyzny. Pragnęła mu pomóc.

– A co z królikiem? Jaki ta zabawka ma związek z tobą? – spytała.

Serce ścisnęło się jej na myśl, że różowy królik należał do dziecka, które utonęło podczas sztormu.

– Nie wiem. – Obracał w ręku pluszowego zwierzaka. – To bardzo dziwne, ale obudziłem się z myślą o nim. Musiałem wiedzieć, gdzie jest, i czy nikt go nie zabrał. Upewnić się, czy jest bezpieczny. Chciałem zatrzymać go przy sobie. Za wszelką cenę. Powiedz mi, po kiego diabła mogłoby mi zależeć na tej obrzydliwej zabawce?

– Może była własnością kogoś, kto bardzo cię obchodził? Albo sam nabyłeś tego królika i komuś ofiarowałeś?

– W życiu nie kupiłbym czegoś tak brzydkiego. Domyślam się, co ci chodzi po głowie. Ale jeśli mam własne dziecko, to z pewnością dawałem mu lepsze zabawki.

– Droższe?

– Oczywiście. Cherish, nie wiem dlaczego, ale mam pewność, że jestem

bogatym człowiekiem.

Roześmiała się głośno. – Jeśli tak uważasz...

– Miałem przecież na ręku diabelnie drogi zegarek – przypomniał.

– Wcale nie byłeś przekonany, że jest twój. Zamyślił się na chwilę.

– Sądziś, że go ukradłem?

Cherish nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie. Ani na żadne następne. Zmieniła temat.

– Pójdę poszukać kogoś, kto zawiezie mnie dziś do Rum Point.

– Nie usłyszałem odpowiedzi.

– Zamiast siedzieć beczynnie, powinieneś umyć się i ogolić.

Cherish podniosła się ze stołka i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy przechodziła obok Ziggy'ego, ten schwycił ją za ramię.

– A więc?

W jego oczach ujrzała stalowe błyski. Z pokaleczoną twarzą wyglądał nieprzyjemnie. Wręcz niebezpiecznie.

– Nie mam pojęcia – szepnęła. – Powiedzmy, że jesteś bogatym Amerykaninem, którego na morzu zaatakowali przemytnicy lub piraci. Równie dobrze możesz jednak być... – urwała. – Och, nie wiem, co myśleć. – Wzruszyła ramionami.

– Ale ciągle zastanawiasz się, kim naprawdę jest facet wyrzucony przez fale, z raną od noża i bez żadnych dokumentów.

– W twoich szortach nic nie było.

Żelazny uchwyt na ramieniu młodej kobiety nagle zelżał. Dłoń była twarda, silna i gorąca. Cherish uprzytomniła sobie nagle, że Ziggy jest niemal nagi. Prześcieradło, którym był owinięty, osunęło się w dół, odkrywając biodra i płaski brzuch.

Mężczyzna emanował teraz energią i zmysłowością. Błyszczały mu oczy. Roześmiał się głośno i nieco chrapliwie.

– Powiadasz, że w moich szortach nie było nic? Doc, zaraz ci udowodnię, jak bardzo się mylisz...

Wzrok Ziggy'ego ją paraliżował. Z trudem wykrztusiła:

– Jak... jak możesz myśleć teraz o seksie!

Nachylił się i pocałował ją w usta, zdrową ręką obejmując w talii.

– Skąd o tym wiesz? Może zawsze o tym myśle?

Żartuję, Doc. Nie bierz moich słów na serio. Jestem przekonany, że to twoja obecność działa na mnie podniecająco.

Szybko się odsunęła. Ziggy zrobił jej przykrość. Większą niż chciałyby się do tego przyznać.

– Nie chcę, aby moja obecność tak na ciebie działała.

Obrzucił wzrokiem postać Cherish. Zobaczył, że związała włosy w koński ogon. Była ubrana w koszulę koloru khaki, szorty i pantofle na płaskim obcasie.

– Nic na to nie poradzisz, doktor Love. Jesteś piękną kobietą. Masz klasę. Dlatego zapomniałem, że jestem słaby i chory. – Ziggy przekrzywił głowę i dodał:

– A ponadto czasami patrzysz na mnie w taki sposób, jakbyś sama o tym nie pamiętała...

Od odpowiedzi wyratowało ją pojawienie się babki Martinez w asyście Luke'a. Z impetem weszli do chaty. Byli obładowani naczyniami z jedzeniem.

– Babcia zrobiła owsiankę – powiedział Luke. Zwrócił się do Ziggy'ego: – Nie będziesz musiał jeść tego, co ugotuje Doc.

– Miło widzieć cię w lepszej formie. Już przytomnego. – Babka Martinez uśmiechnęła się do swojego pacjenta. – Jak dziś się czujesz?

– Znacznie lepiej – odrzekł. – Chyba w znacznym stopniu zawdzięczam to pani. Siknęła głową i przedstawiła mu chłopca.

– To jest mój wnuczek.

– Przypomniałeś już sobie, jak się nazywasz? – zapytał Luke.

– Chyba mam na imię Ziggy.

– To dobrze. – Chłopak wydawał się zadowolony z odpowiedzi. Uznał, że mężczyzna jest jednak rozgarnięty. – Masz ładne imię.

– Ujdzie – bez przekonania powiedział Ziggy.

– Przypomniałeś sobie coś jeszcze? – spytała babka Martinez.

– Nie. – Ziggy rzucił wzrokiem na Luke'a. – Czy dlatego chłopak miał na czole namalowany niebieski – krzyż, że sądziła pani, iż mój brak pamięci to diabelska sprawka?

– Może – odparła babka Martinez, rozpakowując przyniesione tobołki. – A może twoje wspomnienia były tak okropne, że wyrzuciłeś je do morza?

– Babciu, nie zostanę na śniadaniu – do rozmowy wtrąciła się Cherish. – Już wychodzę. Chcę znaleźć kogoś, kto zawiezie mnie do Rum Point. Muszę zadzwonić do profesora Corridora i ambasady amerykańskiej w Belize.

– Ale pamiętaj, że przez jakiś czas Ziggy nie będzie się jeszcze nadawał do podróży – ostrzegła stara kobieta.

Być może, lecz Cherish była zdecydowana jak najszybciej pozbyć się nieproszonego gościa, z czego zresztą ten zdawał sobie sprawę. Zbierając się do

wyjścia, starannie unikała jego wzroku. Pożegnała się i szybko opuściła chatę.

Ziggy poczuł nagły głód. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni miał coś w ustach. Rzucił się łapczywie na jedzenie przyniesione przez babkę Martinez. Zmiotł wszystko z talerza. Popił sokiem ze świeżych owoców i mocną kawą. A potem zaczął rozmowę z małym, czarnoskórym chłopcem, który przez cały czas nie spuszczał z niego oczu i, zafascynowany niezwykłym gościem, śledził z uwagą wszystkie jego ruchy.

Ziggy z łatwością naprowadził rozmowę na temat, który interesował go najbardziej.

– Doc jest u nas od mniej więcej sześciu miesięcy – na zadane pytanie odpowiedział Luke. – I ma zostać co najmniej przez dwa lata.

– Czy ma tutaj chłopaka? – zapytał Ziggy.

– Chłopaka? – powtórzył dzieciak z niesmakiem.

– Oczywiście, że nie. To poważna i przyzwoita kobieta.

Nie przychodzą do niej żadni mężczyźni. Widuje się tylko ze swoim szefem. Profesorem Corridorem.

– Chcę obejrzyć szwy – powiedziała babka Martinez.

Dopiero teraz Ziggy zobaczył czerwoną nić, którą ta kobieta posłużyła się do zszycia rany.

– Babciu Martinez, w dziedzinie chirurgii wprowadza pani całkiem nową modę – zażartował.

– Niech Doc wieczorem jeszcze raz przemyje ci ranę.

– Stara kobieta uśmiechnęła się lekko, jakby do siebie, i dodała: – Ona potrzebuje mężczyzny.

– Dlaczego tak bardzo interesujesz się Doc? – z ciekawością zapytał Luke.

– Bo nie mam nic innego do roboty – odparł Ziggy.

– Chłopiec zostanie z tobą aż do powrotu Doc – oświadczyła babka Martinez. – Wypierze pościel i rozwiesi ją na zewnątrz. Kiedy położysz się wieczorem do łóżka, będzie sucha i czysta.

– Chciałbym zasłużyć na świeżą pościel. Doc wspominała mi coś o prysznicu.

– Jest tuż za domem. Chodźmy razem, to ci pomogę – zaofiarował się Luke.

– Drogie dziecko, wprawdzie nie pamiętam, ale jestem gotów się założyć, że od lat biorę prysznic bez niczyjej pomocy.

– To urządzenie jest inne niż wszystkie. Zaraz sam się przekonasz. Pokażę ci, jak z niego korzystać – upierał się chłopiec.

– Potem zabiorę się do przeglądania prasy – powiedział Ziggy, zerkając na stos

gazet leżących przy drzwiach. – Kto wie, może natrafię w nich na coś, co pobudzi moją pamięć?

Miał jednak niejasne przeświadczenie, że klucz do otaczającej go tajemnicy, którą musi zgłębić, jest ukryty głęboko w jego własnej podświadomości.

Rozdział 4

Cherish wróciła na wyspę dopiero wieczorem. Była zmęczona i zdenerwowana. Liczyła na to, że zastanie Ziggy'ego w łóżku, smacznie śpiącego, i nie będzie musiała dziś z nim rozmawiać. Nie miała pojęcia, co zrobić ze skąpymi i mało pomyślnymi informacjami, które udało się jej zdobyć przez telefon.

Z daleka zobaczyła, że chata jest jasno oświetlona. Ktoś pozapalał wszystkie lampy gazowe. Znalazłszy się bliżej, usłyszała dochodzący ze środka gwar męskich głosów, od czasu do czasu przechodzących w gromki śmiech. Kiedy otworzyła drzwi i weszła do środka, potknęła się o leżącego psa Petera Sacqui. Podniosła głowę i ujrzała przed sobą spory tłumek mężczyzn. Zgromadziła się tutaj mniej więcej połowa płci brzydkiej zamieszkującej Voodoo Caye.

– Zjawila się Doc! – wykrzyknął Luke z takim entuzjazmem, jakby zobaczył dawno nie widzianego i niespodziewanego, aczkolwiek miłego gościa.

– Hej, Doc! Wchodź do środka! – zawołał Peter Sacqui, młody i przystojny rybak, o sympatycznym sposobie bycia.

Zawtórowali mu inni mężczyźni, serdecznie zapraszając Cherish do środka chaty. Powietrze było tutaj aż gęste od dymu, który szczypał w oczy. Mieszkańcy wyspy, podobnie jak całego Belize, palili stanowczo zbyt dużo. Cherish otworzyła usta. Zamierzała zapytać, co się tu właściwie dzieje i skąd to całe zbiegowisko, lecz zakrztusiła się dymem.

Podszedł do niej Daniel Nicholas, mężczyzna w średnim wieku, szanowany członek społeczności wyspy. Usunął z drogi psa Petera, a ponieważ nadal się dusiła, uderzył ją mocno w plecy. Na oczach wszystkich zgromadzonych krztusiła się jeszcze przez dobrą chwilę.

– Już lepiej, Doc? – zapytał Daniel.

Wytarła załzawione oczy i skinęła głową. Zaczęła oddychać płytko, żeby ponownie nie zakrztusić się dymem. Poczula teraz jeszcze inny zapach. Rumu.

– Co tu się dzieje? – zapytała.

– Panowie, panowie, gdzie się podziały wasze dobre maniery!?! – gdzieś z głębi kuchni zawołał Ziggy. – Doc jest zmęczona. Miała dziś ciężki dzień. Poproście ją, żeby usiadła.

Kilku mężczyzn szybko podniosło się z krzeseł, ofiarowując je Cherish. Dopiero teraz dojrzała Ziggy'ego. Miał na sobie tylko krótkie szorty. Jej własne. Wzięte bez zezwolenia. Oznaczało to, że grzebał w szafie. Leżał teraz wygodnie,

rozciągnięty na... hamaku. Jakim cudem ten sprzęt znalazł się w jej kuchni? Cherish nigdy go wcześniej nie widziała. Linki utrzymujące hamak zniknęły w oknach znajdujących się na przeciwległych ścianach małego pomieszczenia. Widocznie zawieszono go na pobliskich drzewach. Wyglądało to dość niesamowicie. Z hamaka Ziggy miał łatwy dostęp do kuchennego stołu. Cherish zobaczyła na nim różne rzeczy. Karty do gry, stosy banknotów i brudne szklanki.

– Skąd wziął się tutaj hamak? – spytała zdumiona.

– To moje stare sieci rybackie – wyjaśnił Daniel Nicholas.

– Ale dlaczego są rozwieszane w mojej kuchni?

– Ziggy’ego bolało kolano, a od gorączki kręciło mu się w głowie. Musiał się położyć – z wyjaśnieniem pospieszył Luke. Miał podejrzenie błyszczące oczy.

Czy chłopcu też dali rumu? zastanawiała się Cherish.

– Ziggy ma łóżko w drugiej izbie – stwierdziła sucho. Spojrzała na niego.

Udawał niewiniątko. Zwrócił oczy ku niebu. Miała ochotę mu przyłożyć, ale w kuchni było zbyt wielu świadków.

– Doc, Ziggy nie lubi twojego łóżka – odezwał się Peter. – Nie powinnaś kazać mu tam spać – dodał z lekką przyganą w głosie.

– Kazać? – Złym wzrokiem spojrzała na swego rozmówcę. – Wczoraj rano znalazłam go półżywego na plaży, poleciałam przynieść tutaj i oddałam mu własne łóżko! Od tamtej pory muszę spać na krześle.

Peter uśmiechnął się szeroko.

– No to jesteś zadowolona, że rozpięliśmy mu hamak w kuchni. Bez problemu może teraz sięgać do karcianego stolika, a ty masz wolne łóżko. Sama więc widzisz, że dobrze się stało. Oboje będziecie teraz zadowoleni.

Cherish dotknęła dłonią czoła. Zaczęło się jej kręcić w głowie.

– Karciany stolik? O czym ty mówisz? Przecież to jest mój kuchenny stół! Co tu się właściwie dzieje?

– Ziggy przeczytał wszystkie stare gazety – wyjaśnił Luke. – Wziął prysznic. Potem drzemał. A w południe podjadł sobie i znów trochę pospał. A jeszcze później nie wiedział, co robić z czasem. Nudził się okropnie. Więc zaprosił gości. Doc, nie możesz mieć o to do niego pretensji.

Ziggy patrzył w sufit. Przez cały czas udawał, że rozmowa go nie dotyczy.

Teraz Peter przejął pałeczkę od Luke’a i za niego dokończył:

– A kiedy wróciliśmy z roboty, Ziggy zaprosił nas do siebie. Pokazywał nowe zagrywki pokerowe.

– Grałście w karty? – wykrzyknęła Cherish. – Uprawialiście hazard?

- Spokojnie, Doc – z hamaka odezwał się Ziggy.
- Niepotrzebnie się denerwujesz. Trochę sobie pograliśmy. Po przyjacielsku.
- Ile wygrałeś? – spytała ostro. – Cherish...
- Ile? – powtórzyła z kamienną miną.
- Nie wiem. Nie znam wartości tutejszych pieniędzy.

Cherish podeszła do stołu. Popatrzyła na stos banknotów piętrzących się przed Ziggym.

- Wygrałeś jakieś pięćdziesiąt dolarów.
- Aż tak dużo? – zapytał, udając zaskoczonego.
- Tak. Oddaj je – poleciła.

Ziggy westchnął ciężko. Wzruszył ramionami i sięgnął po pieniądze. Reszta mężczyzn zaprotestowała. Jednogłośnie. O co właściwie jej chodzi? pytali. Czy sądzi, że tak fajny facet jak Ziggy mógłby ich oszukiwać? Czy uważa, że musi ich chronić? Czy myśli, że sami nie potrafią się odegrać? Czy jest przekonana, że tylko Ziggy gra dobrze w karty?

- Doc, ja też wygrałem. Sześćdziesiąt dolarów – oświadczył Peter.

– A Ziggy dał mi piątaka za to, że odganiałem od niego muchy – ze swej strony dorzucił Luke. – I pozwolił mi oglądać karty. Żebym mógł nauczyć się grać – dodał z zadowoleniem.

Tego już było za dużo dla Cherish. Podniosła rękę do góry. Gestem uciszyła zebranych.

– Bardzo mi przykro, że muszę wam przerwać zabawę. Ale Ziggy ma rację. Miałam ciężki dzień. Jestem zmęczona i chcę iść do łóżka.

– W porządku, Doc. Kładź się – pogodnym głosem rzekł Peter, zajmując z powrotem swoje krzesło. Reszta gości podążyła jego śladem. Wszyscy znów wygodnie się rozsiedli. Cherish westchnęła ciężko.

– Panowie, doktor Love prosi, abyście poszli już do domu – z hamaka odezwał się Ziggy.

- Ach, tak. – Peter wstał. Podeszedł do stołu.

Z zadowoloną miną zaczął wpychać do kieszeni swoją wygraną. – Przepraszam, Doc. Dobranoc. – Gwizdnął cicho na psa i opuścił chatę.

Cherish żegnała grzecznie każdego wychodzącego gościa.

– Luke, na ciebie też czas – powiedziała potem do chłopca. – Zmykaj prędko do domu.

– Babcia kazała dopilnować, żeby Ziggy zjadł kolację. Dlatego tu byłem. Przyniosłem mu trochę *wowla* w rosole.

– Przypilnuję, żeby wszystko zjadł – obiecała Cherish. – Podziękuj babci ode mnie.

– I koniecznie jeszcze dzisiaj wydezynfekuj mu szwy.

– Dobrze. Dobranoc, Luke.

– Powinnaś go ogolić. Sama przecież widzisz, jak okropnie wygląda. – Chłopak nie dawał za wygraną.

– Dobrze, Luke. Ogołę go, przyrzekam. – Wypchnęła chłopca z chaty, zamknęła za nim starannie drzwi, a potem odwróciła się i popatrzyła przeciągle na winowajcę. Ziggy spuścił głowę.

W chacie zapanowała cisza. Pierwszy Ziggy przerwał milczenie. Przesunął ręką po zarośniętej twarzy.

– Doktor Love, czy mogę bez obawy pozwolić ci podejść do mnie z brzytwą?

– Nie, jeśli ci życie miłe.

– Coś mi się zdaje, że jesteś czymś zmartwiona. Już dłużej nie wytrzymała.

Wykrzyknęła:

– Jak mogłeś!? Jak mogłeś tak się zachować!?

– Jak? – Ziggy udawał Greka.

– Jak mogłeś grać w karty zatruwać tradycyjną kulturę tych ludzi?

– Słucham?

– Grimly będzie wściekły, kiedy się o tym dowie.

– Grimly?

– Mój szef. Profesor Corridor. To, co zrobiłeś, może się także odbić na badaniach nad tutejszą społecznością, które prowadzę.

– Cherish, nie bądź śmieszna! Czy naprawdę sądzisz, że żaden z tutejszych mężczyzn nigdy przedtem nie grał w pokera? Przecież nie przypadkiem Peter wygrał sześćdziesiąt dolarów. – Ziggy uśmiechnął się lekko. – Ale żaden z nich nie znał tych zagrywek, które im pokazałem – dodał z zadowoloną miną.

– To wcale nie jest zabawne! – wybuchnęła.

– Uspokój się, Doc. Żaden poważny antropolog nie doszuka się niczego złego w niewinnej, przyjacielskiej zabawie – powiedział pojednawczo.

Cherish zamilkła. Nie było sensu dłużej ciągnąć tego tematu.

– Czy zacząłeś coś sobie przypominać? – zapytała Ziggy’ego.

– Niewiele. W każdym razie to nic ważnego. Ale kiedy wzięłem do ręki talię kart... Popatrz sama.

Zsunął się z hamaka i usiadł przy stole. Zebrał karty. Z ogromną wprawą szybko je potasował. A potem z kunsztem magika rozciągnął całą talię jak

harmonię i wszystkie karty przewrócił błyskawicznie na drugą stronę. Zrobił tę sztuczkę tak sprawnie, jakby ćwiczył ją przez całe życie.

Cherish poczuła się nieswojo. Obraz Ziggy'ego manipulującego kartami pasował do informacji, które dziś uzyskała.

– Oszukiwałeś moich znajomych? – spytała przez zaciśnięte zęby.

– Nie. Wcale nie musiałem – odparł swobodnie. – Nie wiem, jak do tego doszło, ale okazało się, że poker całkiem nieźle mi idzie. Dziś parę razy celowo przegrywałem. Co ja bym robił tutaj z pieniędzmi? A ponadto – spojrzał na Cherish – nie zamierzałem łupić ciężko pracujących rybaków, którzy w stosunku do mnie tak sympatycznie się zachowali. Musiałbym być ostatnim łajdakiem, żeby wyciągać z nich forszę. No nie?

– Czy jesteś... – zawahała się na chwilę. – Czy jesteś karcianym oszustem?

Wzruszył ramionami.

– Chyba nie. A zresztą, do diabła, skąd mam to wiedzieć? Widzę przed oczyma obraz wnętrza kasyna. Krupier mówi po francusku: *Mesdames et messieurs, faites vos jeux! Les jeux sont faits...* – Ziggy opuścił powieki. Usiłował przypomnieć sobie więcej.

– Co jeszcze? – szepnęła Cherish.

Potrząsnął głową. Odłożył karty. Podniósł ręce do góry i przesunął dłonią po włosach.

– Widzę... Widzę jakąś elegancką salę. W obcym kraju. Kelnerzy mówią tylko po francusku. Kobiety zresztą też.

– A czy ty znasz ten język? – spytała.

– *Français? Oui, je le parle assez bien.* – Ziggy podniósł głowę. Na jego twarzy ukazał się wyraz zdziwienia. – Gdzie się tego nauczyłem?

– A inne języki? Na przykład hiszpański?

– Nie wiem. Powiedz coś na próbę.

– *Tienes hombre?*

Nie zrozumiał.

– Pytałam, czy jesteś głodny.

– A więc nie znam hiszpańskiego. Ustaliliśmy więc, że znam francuski. Po niemiecku i włosku mówię słabo. Ale wystarczająco, żeby móc podrywać ładne dziewczyny.

– Jeździłeś po świecie?

Zmarszczył czoło. Próbował sobie przypomnieć. W szarych oczach Ziggy'ego Cherish dojrzała niepewność i głębokie rozczarowanie. Wydawał się dziwnie

zagubiony i samotny. Zrobiło się jej go żal.

Zacząła usprawiedliwiać przed sobą dzisiejsze okropne zachowanie się chorego. Przez wiele godzin siedział w domu tylko z małym chłopcem, więc musiał się nudzić i odczuwać samotność.

Zabrała się do kuchennych porządków. Włożyła do zlewu stopy brudnych szklanek i kieliszków. Sprzed nosa Ziggy'ego sprzątnęła szklaneczkę z rumem.

– Nie zabieraj – zaprotestował.

– Nie powinienes pić.

– Skąd pani wie, doktor Love?

– Babka Martinez zaordynowała ci rosół, a nie rum. Cherish podgrzała *wowla* w bulionie. Przełożyła potrawę do miseczki i postawiła przed Ziggyem. – Jedz.

– Nie jestem głodny – grymasił. – Mam ochotę tylko na dwie rzeczy, a ty mi obu odmawiasz – dodał smutnym głosem ze zbolaną miną.

– Rumu nie dostaniesz. To moje ostatnie słowo. A co do pokera...

– Nie chodzi o karty.

– A o co? – spytała odruchowo.

Milczał, więc spojrzała na niego. Nagle poczuła, jak bardzo głośno i szybko bije jej serce. Oddychała nierówno. Cofnęła się szybko. Zrozumiała, co Ziggy ma na myśli.

– Nic... Nic... – zaczęła się jąkać.

– Nic z tych rzeczy? – dopowiedział. Skinęła głową.

– Przecież to uzgodniliśmy.

– Nie pamiętam. – Głos Ziggy'ego brzmiał teraz szorstko.

– Zachowuj się przyzwoicie. Jesteś tu tylko gościem. Nieproszonym.

– Cherish... – Pieszczotliwie wymówił jej imię.

Z rozchylonymi lekko wargami patrzył na młodą kobietę, błagając wzrokiem, żeby się zbliżyła. Nie podeszła, więc westchnął. Po chwili powiedział: – Przez cały dzień myślałem o tobie. Zastanawiałem się nad różnymi rzeczami. Dlaczego tak piękna kobieta siedzi w tej okropnej dziurze? Dlaczego jest spragniona pocałunków? Dlaczego śpi sama, i do tego na Madejowym łożu?

Na twarzy Cherish wykwitły rumieńce.

– Przecież nic o mnie nie wiesz.

– Trochę zdążyłem wyniuchać. Jesteś tutaj już sześć miesięcy, a jeszcze nie masz kochanka. Dlaczego? Wielu mężczyzn na Voodoo Caye uważa cię za kobietę atrakcyjną. A ty, jak sędzę, nie masz przesądów rasowych.

– Garifuna są na wyspie społecznością, którą badam. Nie mogę mieć z nimi

żadnych... intymnych kontaktów. Można by wówczas podważyć wyniki moich prac i uznać je za nierzetelne. A wtedy moja reputacja jako naukowca zostałaby zrujnowana.

– Nie piszesz też listów do Stanów – ciągnął Ziggy. – Więc tam też nie masz nikogo. Cherish, nic z tego nie rozumiem. O co w tym wszystkim chodzi?

– Jak śmiesz zadawać mi tak osobiste pytania!

– Zaspokój moją ciekawość. Proszę. Jestem nieszczęśliwy i chory.

– Powinnam rzucić cię do morza na pożarcie drapieżnym rybom.

– Dlaczego żyjesz jak zakonnica? – pytał z uporem.

– Kim jest Catherine?

Lekko drgnął, lecz zaraz potem uśmiechnął się szeroko.

– *Touche.*

– Zabieraj się wreszcie do jedzenia, bo ci wystygnie. Spróbował mięsa w rosole.

– Całkiem niezłe. Babka Martinez dobrze gotuje.

Cherish skinęła głową.

– Wszystko robi dobrze. Jedzenie, które przynosi, ma odpowiednie właściwości lecznicze. Chce, abyś szybko wyzdrowiał.

– A więc zrobiła mi rosół z kurczaka. Znane na całym świecie lekarstwo na wszystkie choroby.

– To nie kurczak.

– Smakuje identycznie.

– Dobry?

– Tak. Co to jest?

– *Wowla.*

– Jakiś miejscowy ptak?

– Nie – odparła Cherish. Skończyła zmywanie. Wietrzyła teraz kuchnię. Zaczynała bawić ją ta cała rozmowa.

– No powiedz wreszcie, co to jest.

– Boa dusiciel.

Ziggy zakrztusił się nagle tak mocno, że Cherish musiała kilkakrotnie uderzyć go w plecy.

– Chcesz powiedzieć, że jadłem węża? – z przerażeniem w oczach zapytał po chwili.

– Tak. Zimnokrwiste stworzenie. Środek na obniżenie gorączki – wyjaśniła spokojnie, z niewinną miną.

– Powinnaś mnie uprzedzić – mruknął. Ze wstrętem odsunął od siebie resztę jedzenia.

– A ty nie powinieneś wypytywać ludzi o moje prywatne sprawy – odcięła się natychmiast.

Ziggy głośno westchnął. Opadł ciężko na krzesło.

– Proponuję rozejm na resztę wieczoru. Jestem trochę zmęczony.

– Nic dziwnego. Powinieneś bardziej się oszczędzać.

– Nie pamiętam, jak to się robi.

– Zostaw resztę *wowla*, ale dopij rosół.

– Nie ma mowy. Jest przecież z węża.

– Ziggy...

– Nienawidzę tego paskudztwa. – Na samo przypomnienie aż się wzdrygnął.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Nie znoszę węży. A także opery, polityki i podatków. Lubię za to kaszmirowe swetry, sportowe wozy, muzykę reggae, chińskie potrawy i koszykówkę.

– I wszelkie inne ziemskie rozkosze – dodała z przekąsem.

– Zabierz stąd, proszę, tę miskę. – Dopiero teraz Cherish zobaczyła, że Ziggy pozieleniał na twarzy.

– Już się robi, szanowny panie. Będzie tak, jak pan sobie życzy.

– Poczekaj! – Złapał ją za rękę. – Pamiętam! To coś znajomego. *t* – Co?

– Nie mam pojęcia. Ale coś mi się kojarzy ze zbieraniem talerzy ze stołu. Już wiem. Kelnerzy.

Restauracja! Widzę ją.

– Jak się nazywa?

– Nie pamiętam. Piękne wnętrze. Na stołach leżą białe obrusy, srebra... – Ziggy zacisnął kurczowo palce na rękę Cherish. – Nie jestem tam sam. Jest ktoś ze mną.

– Kto? Mężczyzna czy kobieta?

– Kobieta.

– Jak wygląda?

– Ma na szyi diamenty. Czystej wody. Drogocenne, ale w dobrym guście. Nie rzucające się w oczy.

– Widzisz jej twarz?

Potrząsnął głową.

– Nie... – Puścił rękę Cherish. – Nie pamiętam. A już miałem to na czubku języka.

– Elegancka restauracja, kobieta w diamentach... – powtórzyła Cherish. – Ziggy, czy jesteś tego pewny?

– Nie, nie jestem. Jakżebym mógł? Nie potrafię sobie przypomnieć nawet własnego nazwiska!

– Te migawki, przebłyski pamięci to być może są tylko twoje marzenia. Luksusowe miejsca. Piękne kobiety. Francuscy kelnerzy. Każdy człowiek fantazjuje. Wyobraża sobie różne wspaniałe rzeczy.

– Przecież ja jestem bogaty. Sama mówiłaś, że kiedy mnie znalazłaś, miałem na sobie, wprawdzie w strzępach, ale drogie ciuchy. Ten zegarek – spojrzał na przegub ręki – kosztował majątek. Wolałabyś, żebym był biednym marynarzem, lubującym się w pluszowych królikach oraz noszącym używane ubrania i podrabiane zegarki?

– Wolałabyś, żebym uznała cię za milionera, na którego w apartamencie luksusowego hotelu na Francuskiej Riwierze czeka piękna i bogata kochanka, obwieszona brylantami? – zapytała Cherish wyraźnie poirytowanym tonem.

– Mieliśmy się nie kłócić. Obiecałaś rozejm – przypomniał płaczącym głosem.

Ziggy wyglądał na wyczerpanego. Mimo to jednak ciągle zachowywał się zuchwale i prowokująco. Dlaczego? zastanawiała się Cherish.

Zmęczonym głosem zapytał:

– Dowiedziałaś się czegoś w ambasadzie?

Usiadła na krześle i oparła łokcie na stole.

– Niewiele. Najpierw przez dwadzieścia minut czekałam na połączenie, a potem drugie tyle na kogoś, kto zechce ze mną porozmawiać.

– Niech żyje biurokracja – prychnął Ziggy.

– Zawiadomiłam ambasadę o tym, co się stało – ciągnęła Cherish. – Dałam im czas na zbadanie sprawy i po kilku godzinach zadzwoniłam jeszcze raz.

Powiedzieli mi, że nikt cię do tej pory nie szukał. Nic nie wiedzą o Amerykance o imieniu Catherine i o innych ewentualnych rozbitkach.

– Aha.

– Sprawdzili w rejestrze. Łódź o nazwie „Lusty Wench” należy do amerykańskiego obywatela. Jest nim niejaki Michael O’Grady. Mówi ci coś to nazwisko?

– Nie. Chyba nic.

– To człowiek notowany wielokrotnie przez policję. Swego czasu siedział w więzieniu. Za paranie się przemytem i nielegalną sprzedaż antyków.

– Znam takiego faceta? – zdumiał się Ziggy.

– Miałaś na sobie koło ratunkowe z jego łodzi – przypomniała Cherish.

– Czy można skontaktować się z tym facetem, żeby pomógł ustalić moją tożsamość?

– Niestety, nie. Niedawno był ponownie sądzony. Trzy miesiące temu wyszedł z więzienia za kaucją. I zniknął bez śladu. Jak kamfora. Od tamtej pory nikt go nie widział i o nim nie słyszał.

– To niesamowite! – Usłyszawszy te rewelacje, zdumiony Ziggy wyprostował się i popatrzył na Cherish szeroko rozwartymi oczyma. – Słuchaj, czy ty aby nie sądzisz, że to ja jestem O’Gradym?

– Przyznaję, że przeszło mi to przez myśl. Ale rysopis się nie zgadza. O’Grady jest niebieskookim blondynem.

– Aha. Czy jeszcze czegoś się dowiedziałaś? – zapytał zmęczonym głosem.

– Ambasada nie chce wziąć odpowiedzialności za nie zidentyfikowanego człowieka, który nie potrafi dowieść, że jest Amerykaninem. Proponuje jednak przyjazd do Belize, gdzie pobiorą ci odciski palców. Jeśli, oczywiście, w najbliższym czasie nie odzyskasz pamięci. – Przez krótką chwilę Cherish czekała na jakąś reakcję ze strony Ziggy’ego, ale on milczał. – Mogłaś być przecież przedtem w wojsku... – dodała.

– Lub w więzieniu federalnym – dorzucił cierpkim tonem.

Poruszyła się niespokojnie.

– W każdym razie ambasada proponuje, żebyś wstrzymał się z przyjazdem do Belize, aż poczujesz się lepiej. Uważają że trzeba poczekać, bo być może odzyskasz pamięć.

– Inaczej powiedziawszy, muszę nadal korzystać z twojej gościnności – mruknął pod nosem.

Ziggy wyraził słowami to, o czym właśnie pomyślała Cherish. Próbowwała słabo protestować, ale jej przerwał.

– Mówiłaś o mnie szefowi? – zapytał. Skinęła głową, więc ciągnął dalej: – I co on na to?

– Hmm...

W rzeczywistości Grimly powiedział jej:

– Jak mogłaś wziąć tego draba pod swój dach?

Upadłaś na głowę, dziewczyno? Postradałaś zmysły?

Żaden przyzwoity człowiek nie łąduje w morzu z nożem w ciele, bez dokumentów i bez pamięci. To prawdopodobnie jakiś łotr, który chce wykraść ci notatki. Wyniki badań. Miej się na baczności! Wracaj natychmiast na Voodoo Caye

i utop tego faceta!

Zamiast tego, rzekła oględnie:

– Grimly nie zaproponował niczego konstruktywnego.

– Uważa, że powinnaś mnie wykopać?

– Zależy mu tylko na tym, aby moja praca posuwała się naprzód. Jeśli chodzi o badania naukowe, jest prawdziwym maniakiem.

W rzeczywistości komentarz profesora Corridora był następujący:

– Dwa dni! Dwa dni zmarnowałaś z powodu tego bezimiennego gangstera! Niewybaczalne! I jeszcze tracisz czas na jeżdżenie do Rum Point i telefony? Myślisz, że Garifuna sami odwałą za ciebie całą robotę? Doktor Love, proszę natychmiast wracać do pracy. To polecenie służbowe.

– Uważa, że jestem niebezpieczny – zgadywał Ziggy, obserwując spłonioną twarz Cherish.

– Tak. Ale Grimly obawia się tylko o moje notatki. O wyniki prowadzonych tutaj przeze mnie prac badawczych. Ma prawdziwą obsesję na tym punkcie. A poza tym jeśli ktoś nie należy do zanikającej społeczności, jest dla niego powietrzem. – Wzruszyła ramionami. – Nawet mnie trudno jest zrozumieć Grimly’ego. W dziedzinie antropologii należy jednak do bardzo wąskiej grupy uznanych na świecie i najbardziej cenionych autorytetów naukowych.

Ziggy uśmiechnął się lekko.

– Moja siostra też będzie... – Nagle zamilkł. Gwałtownym ruchem poderwał się z krzesła. – Powiedziałem: moja siostra?

Cherish gestem zachęciła go do mówienia. Podniecony, zaczął niezdarne kuśtykać po kuchni.

– Mam siostrę! Ona jest... jest... O, do diabła, nic więcej nie pamiętam! – W bezsilnej złości uderzył pięścią w ścianę.

– Tylko się nie denerwuj, bo to jeszcze pogorszy całą sprawę. Nie staraj się nie przyspieszać na siłę. Zobaczysz, zanim się obejrzysz, pamięć sama ci wróci.

– Naukowcy. Prace badawcze. Notatki. Wszystko to skojarzyło mi się z siostrą. Ale dlaczego? Do licha, jak ona ma na imię? Jak wygląda?

Na próżno Ziggy wyteżał umysł. Od tego wysiłku znów zaczęła boleć go głowa.

– Połóż się – powiedziała Cherish. – Jesteś dziś bardzo zmęczony. Powinieneś już spać. Jeszcze tylko wydezynfekuję ci szwy.

– Co ja robiłem na jakiejś tam „Lusty Wench”? Gdzie ta cholerna łódź teraz jest?

Zamknął oczy. Jęknął. Ból zaczął rozsadzać mu czaszkę.

– Chodź. Musisz się położyć. – Cherish wzięła Ziggy’ego za rękę i doprowadziła do hamaka. Podziwiała go za to, że tak bardzo chce przypomnieć sobie, kim jest. Mimo bólu, który odczuwał za każdym razem, kiedy usiłował odtworzyć wydarzenia owej tragicznej nocy na morzu.

Położyła Ziggy’emu na czole zimny, mokry okład. Gdy był tak bardzo bezradny i cierpiał, pragnęła mu dopomóc. Troszczyć się o niego i pocieszać.

Opatrzyła zranione ramię. Poglaskała go lekko po głowie. Włosy miał czyste i błyszczące. Pachniały jej własnym szamponem.

Zaczął teraz coś bełkotać. Nieprzytomnie. Cherish obawiała się powrotu koszmarów sennych, które tak bardzo go męczyły i doprowadzały niemal do szaleństwa.

– Leż spokojnie – szepnęła Ziggy’emu do ucha, odgarniając mu z czoła kosmyki opadających włosów.

– Nie mogę. – Złapał ją nagle za rękę i mocno przytrzymał. – Wiem, że komuś bardzo zależy na tym, abym zginął. Ktoś pragnie mojej śmierci.

– Kto? – spytała cichym głosem.

– Nie wiem.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Drżał teraz na całym ciele. Bał się. Jak dziecko. – Cherish, nie odchodź. Zostań ze mną – poprosił.

– Nie mogę. Twoje ramię...

– Nic mu się nie stanie. Zostań.

Nagłym ruchem przyciągnął ją do siebie. Hamak niebezpiecznie się zachybił, kiedy się na nim znalazła. Poczula zapach skóry Ziggy’ego, jego nogi oplatające się wokół niej, ciepło bijące z obnażonej męskiej piersi i szorstką, zarosniętą twarz, którą przytulił do jej szyi.

– Urażę ci ramię.

– Nie urazisz. Zostań ze mną. Przynajmniej przez chwilę. Dopóki nie zasnę.

Miała nadzieję, że sieci utrzymają ciężar dwóch ciał. Nie chciała znaleźć się na podłodze.

Ziggy leżał teraz spokojnie. Nie reagując na bliskość kobiecego ciała, zasnął niespodziewanie szybko.

Po głowie Cherish zaczęły błędzić różne myśli.

Była przekonana, że romansowanie i uwodzenie stanowiły jego drugą naturę. Czuł się znacznie lepiej podrywając ją niż prosząc o pomoc. Był mężczyzną

niezwykle atrakcyjnym, więc większość kobiet, z którymi miał do czynienia, reagowała na niego zmysłowo. Na charakter Ziggy'ego miały także wpływ różne inne czynniki. Między innymi pozycja rodziny i status społeczny. Jako naukowiec, Cherish zdawała sobie z tego sprawę. Chętnie wypytałaby Ziggy'ego o te wszystkie rzeczy.

Westchnęła, kiedy pogrążony w śnie przysunął się bliżej. Dotknęła policzkiem jego gęstych włosów. Było jej dziwnie dobrze. Do takiej sytuacji łatwo mogłaby się przyzwyczaić.

Ostre reakcje Ziggy'ego na wszelkie upomnienia świadczyły o tym, że jest typem buntownika. I to, niestety, pasowało do faktu, że przebywał na morzu w towarzystwie kryminalisty. W każdym społeczeństwie, pod każdą szerokością geograficzną, przestępcy bywali zazwyczaj rebeliantami. Cherish westchnęła ciężko.

Informacja o właścicielu „Lusty Wench” była dla niej prawdziwym szokiem. Kiedy uprzytomniła sobie, że Ziggy może być Michaeliem O'Grady, zrobiło się jej słabo. Dopiero gdy podano jej rysopis tego człowieka, odetchnęła z ulgą. Ale Ziggy mógł przecież należeć do grona jego współników. I być także przestępcą. Może nawet groźniejszym niż sam O'Grady. Cherish nurtowało jednak pytanie, kto chciał zabić Ziggy'ego. Kto ugodził go nożem i na pełnym morzu zepchnął z pokładu „Lusty Wench”? I dlaczego? Dlaczego?

Różne przykre myśli błędziły bez przerwy po jej skołatanej głowie. Miała, niestety, zbyt skąpe informacje o O'Grady i jego łodzi. Boże, niech Ziggy jak najszybciej odzyska pamięć! Teraz to jest najważniejsze!

Urzędnik ambasady amerykańskiej uprzedził Cherish przez telefon, że zidentyfikowanie Ziggy'ego na podstawie odcisków palców jest mało prawdopodobne. Był zbyt młody, aby uprzednio służyć w wojsku. Wątpiła zresztą, czy, ze swoją buntowniczą naturą, z własnej woli poddałby się wojskowym rygorom. Na myśl o tym, że Figuruje w rejestrze kryminalistów, ogarnęło ją prawdziwe przerażenie.

Za wszelką cenę musiała dowiedzieć się prawdy o tym człowieku! I to jak najszybciej. W przeciwnym bowiem razie słowa wypowiedziane przez Ziggy'ego: „Komuś bardzo zależy na tym, żebym zginął. Ktoś pragnie mojej śmierci” będą prześladowały ją dopóty, dopóki nie zostanie wyjaśniona tajemnica otaczająca jego pojawienie się na Voodoo Caye.

Rozdział 5

Obudził go jakiś ostry zapach. Poczł woń przypalonych jajek i zapach kawy. Och, widocznie dziś rano wpuścili do kuchni Clowance, jego siostrę. Ta dziewczyna nigdy nie nauczyła się gotować. Ale raz w roku, w dniu urodzin ojca, własnoręcznie przyrządzała śniadanie, a wszyscy domownicy udawali, że daje się je zjeść.

Urodziny ojca? Do licha, znów je przegapiłem! Dlaczego Catherine mi nie przypomniła?

Westchnął, ale się tym nie przejął. O tak wczesnej porze trudno było wykrzesać z siebie choć odrobinę poczucia winy.

Przewrócił się na bok. Przykładając głowę do poduszki, poczuł obok jakiś przedmiot. Mały, miękki i gładki. Otworzył oczy i ujrzał różowego, pluszowego zwierzaka. Brzydactwo uśmiechało się do niego krzywą, białą mordką.

To królik, uprzytomnił sobie nagle. Królik.

Usiłował się podnieść. W tym momencie hamak zachybotał się i jego zawartość znalazła się na podłodze.

Usłyszawszy głośny łomot, Cherish otworzyła szeroko drzwi i wpadła do chaty.

– Ziggy! Czy coś ci się stało?

Leżał na podłodze i jęczał. Rękoma zakrywał oczy.

– Och, jakie ostre to słońce! Razi!

Uklękła obok niego.

– Czy coś ci się stało? – powtórzyła pytanie.

Krople zimnej wody spływały z jej włosów i padały na obnażoną pierś Ziggy'ego.

– Jesteś mokra – powiedział z wyrzutem w głosie.

– Właśnie myłam włosy. Przed chatą, bo nie chciałam cię budzić. Spałeś tak spokojnie.

Otworzył oczy i spojrzał na Cherish. Jak to możliwe, żeby kobieta ubrana w spłowiała, workowatą bluzkę i z włosami ociekającymi wodą wyglądała tak bardzo atrakcyjnie? Chciał pocałować ją, pogłaskać i rozpiąć bluzkę. Chciał umyć jej włosy.

Pragnął opowiedzieć tej kobiecie o swoich marzeniach, koszmarach sennych i lękach. Zamiast tego podniósł się niezdarnie z ziemi i zapytał:

– Skąd, do diabła, ten okropny królik znalazł się w moim łóżku?

– Kiedy na dobre zasnąłeś, prawie dwie godziny leżałam jeszcze obok ciebie. Potem wstałam i zabrałam się do czyszczenia lamp. Po pewnym czasie zacząłeś nieprzytomnie rzucać się w hamaku. Bez przerwy pytałeś o królika. Przyniosłam ci go, żebyś się uspokoił. – Cherish popatrzyła z niesmakiem na pluszowego zwierzaka. – To chyba niehigienicznie trzymać coś takiego w łóżku.

W tej chwili Ziggy’emu przypomniały się wydarzenia ostatniej nocy. Zasnął w ramionach tej kobiety! Poczul się dziwnie skrępowany i zawstydzony. Zapytał więc szybko:

– Czy robisz śniadanie?

– Tak. – Cherish rzuciła się w stronę pieca. Woda ściekająca z jej włosów rozprysnęła się po całym pomieszczeniu. – Och, do diabła! Zupełnie o nich zapomniałam!

– O jajkach dla mnie? Przypaliłaś je?

– O nic się nie martw. Zaraz usmażę ci następne.

Nie chciał sprawiać dodatkowych kłopotów. I tak miała ich ostatnio zbyt wiele.

– Nie musisz. Zjem te, które zrobiłaś.

– To niemożliwe. Są spalone.

– Nic mi się nie stanie, jeśli je zjem – skłamał gładko. Jego żołądek domagał się solidnego, apetycznego posiłku. Niestety, jajka sadzone roboty Cherish nie należały do tej kategorii jedzenia.

– Przykro mi, że je przypaliłam. Brak wprawy. Rzadko coś gotuję.

– To mi się kojarzy z czymś bardzo znajomym – powiedział spoglądając na zawartość patelni. – Chyba zapach spalenizny sprawił, że coś mi się przyśniło. Jestem prawie pewny, że mam lub miałem rodzinę.

Cherish stanęła bez ruchu. Wstrzymała oddech. Woda z jej mokrych włosów ściekała po policzkach i szyi aż pod bluzkę.

– Rodzinę? – powtórzyła po chwili. – Masz na myśli żonę i dzieci?

– Nie. Rodziców. I siostrę. I Catherine. – Zmarszczył brwi, usiłując połączyć logicznie i uporządkować strzępki wspomnień. – Tak. Sądzę, że w moim życiu jest jakaś Catherine.

– Żona? Kochanka? Ciotka?

Wzruszył ramionami i nerwowym ruchem przesunął dłonią po zmierzwionych włosach.

– Nie mam pojęcia. Równie dobrze może to być suka, którą posiadam.

– Jeśli tak, to jest wytresowana znakomicie – cierpko stwierdziła Cherish, rzucając znaczące spojrzenie na przegub ręki Ziggy’ego, na którym znajdował się

zegarek.

– O psie prezydenta Busha napisano książkę. – Ziggy z niesmakiem potrząsnął głową. – Do diabła, dlaczego pamiętam takie bzdury, a nie mogę przypomnieć sobie własnego nazwiska? – Jakies myśli zaczęły mu znów błądzić po głowie.

– A więc masz rodzinę. Będzie martwiła się o ciebie i rozpocznie poszukiwania.

– Może – powiedział bez przekonania. Nie każdej rodzinie zależy na odnalezieniu jej członka. Czy on sam był dobrym synem? Kochającym bratem? – Może – powtórzył pełnym zwątpienia głosem.

– Wkrótce przypomnisz sobie więcej. Pamiętaj, że od wypadku upłynęły dopiero dwa dni – uspokajała go Cherish.

Miała różowe wargi i posklejane rzęsy. U nasady szyi drżała kropla wody, połyskując na alabastrowej skórze.

– Wcale nie jesteś opalona – stwierdził Ziggy, nadal przypatrując się Cherish.

Spojrzała na niego, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

– Mam bardzo jasną karnację. Jak wszyscy rudowłosi. Nigdy nie wychodzę na słońce bez kapelusza i grubej warstwy ochronnego kremu. W przeciwnym razie spieklabym się na raka.

– Masz piękną skórę. Ma barwę masy perłowej.

– Dziękuję – odparła. Poczerwieniła na twarzy. Ziggy stwierdził, że usłyszany komplement speszył ją, a zarazem uradował.

Spuściła oczy, lecz ją zdradziły. Jak zawsze. Czy ta kobieta myśli, że potrafi cokolwiek ukryć? Z oczu pozornie chłodnej intelektualistki wyzierają zmysłowość, żywotność i temperament. A czasami, przypominał sobie, także dobroć i czułość. Te ładne, zielone oczy widział przepelnione serdecznością i współczuciem. Ostatniej nocy.

Na samą tę myśl teraz on się zaczerwienił. Odwrócił głowę. Na wspomnienie, jak w nocy trzął się jak galareta, jak błagał Cherish, żeby nie zostawiała go samego, zrobiło mu się nieswojo. Nie zachował się jak przystało mężczyźnie. I ta kobieta była świadkiem jego tchórzostwa i słabości. Co gorsza, nawet go pocieszała.

Nazajutrz po nocy spędzonej z kobietą mężczyzna czasami czuje się kiepsko. Bywa zakłopotany. Ale tak głupio, jak dzisiejszego ranka, on sam nie czuł się jeszcze nigdy. Dlaczego nie trzymał języka za zębami? Powinien przespać się z Cherish i dać jej rozkosz, na którą zasługiwała. A co on zrobił? Jęczał i prosił o opiekę! Jednak wczorajszej nocy wytworzyło się między nimi coś silniejszego niż pociąg zmysłowy. Wzajemne zrozumienie. Świadomość tego faktu sprawiła, że

poczuł się jeszcze gorzej i bardziej nieswojo.

Był cholernie zakłopotany.

Cherish nadal unikała wzroku Ziggy'ego. Usiłowała oderwać przypalone jajka od dna patelni i przełożyć je na talerz.

Dałby wiele, żeby wczorajsza noc się nie zdarzyła. Był mężczyzną, musiał więc spojrzeć w oczy prawdzie... i tej kobiecie. Widział, że ona też jest skrepowana. Powinien poprawić jej nastrój. Sprawić, żeby poczuła się lepiej i swobodniej. W pełni na to zasługiwała.

– Hm... Cherish, co powiesz o ostatniej nocy? – Głos Ziggy'ego zabrzmiał niepewnie, co wprawiło go w jeszcze większe zakłopotanie.

– Słucham? – spytała drżącym głosem. Usiłowała nie przełamać żółtka, które, jak sądził, było tak twarde, że mogłoby z powodzeniem służyć za krążek hokejowy.

– Chcę... Chcę ci powiedzieć, że... – urwał. Zacisnął zęby. Do diabła, co się z nim dzieje? Nigdy dotąd nie miał większych problemów z załatwianiem takich spraw.

Nigdy dotąd? Myśl ta na moment go zastanowiła. Usiłował sięgnąć wstecz pamięcią. Bezskutecznie.

– Słucham? – powtórzyła Cherish.

Podniósł głowę i napotkał jej wzrok. O dziwo, dojrzał w nim lekkie rozbawienie. Czyżby śmiała się z niego? Nie, w oczach Cherish dostrzegł także serdeczność. Coś jednak ją ubawiło. Speszył się tak, że zapomniał, co ma do powiedzenia.

– Lepiej już się czujesz? – spytała łagodnym tonem.

Skinął głową.

– Chcę ci powiedzieć... Przepraszam za wczorajszą noc.

– Nie ma za co – zapewniła, nadal się uśmiechając. – Poznałam nie najgorszą stronę twego charakteru.

Czuł się fatalnie. Może po wypiciu kawy uda mu się odzyskać rezon. Wyjął z rąk Cherish talerz z jajkami i powiedział:

– Doc, skończ myć włosy. A ja zabiorę się do...

Hm... – zaczął się jąkać.

Popatrzyła podejrzliwie na jajka.

– Chyba od razu je wyrzucę. Jeśli ci zaszkodzą, babka Martinez będzie znów musiała cię leczyć. Jestem pewna, że przyniesie nam coś na śniadanie.

– Pójdę ją o to poprosić – powiedział szybko Ziggy.

– O, nie. Z chorym kolanem? – Cherish popchnęła go lekko w stronę krzesła. –

Wiem, że brak ruchu i beczynność bardzo cię męczą. Nie jesteś przyzwyczajony do siedzenia w jednym miejscu. – Obrzuciła wzrokiem wysportowaną sylwetkę Ziggy’ego.

Zastanawiał się przez chwilę, czy się jej podoba. Wzruszył ramionami. To zresztą sprawa gustu. Niektóre kobiety lubią atletów, inne wolą cherlaków.

Dotarł do niego głos Cherish.

– Opóźnisz rekonwalescencję, jeśli za szybko wstaniesz z łóżka – ciągnęła. – Gdy tylko wyleczysz kolano, będziesz mógł włączyć się do woli po całej wyspie.

Umowa stoi?

– Dobrze.

Spojrzała na niego z odrobiną podejrzliwości. Zachowywał się potulnie, inaczej niż zwykle.

Czy zawsze był kapryśny i nie zrównoważony, czy tylko w obecności tej kobiety? Przypomniawszy sobie o wypadku i utracie pamięci. Takie wydarzenia mogą zakłócić równowagę psychiczną każdego człowieka!

Skoncentrował się teraz na pojedynczych obrazach, które sobie przypomniawszy. Myślał o nich tak intensywnie, próbując odtworzyć przeszłość, że nawet nie tknął śniadania, które przyniosła mu babka Martinez, i niemal nie odczuwał bólu, kiedy przemywała mu ranę. A nawet przestał się przejmować własnym zachowaniem w stosunku do Cherish.

Rano przypomniawszy sobie jakieś fragmentaryczne sceny dotyczące siostry i ojca. Powinien zacząć układać je w całość. Czytał kiedyś, że najsilniejsze wspomnienia człowieka są związane z reakcjami zmysłu powonienia. To by się zgadzało. Obudziła go przecież woń spalenizny i przywołała z przeszłości jakieś drobne fakty.

Cherish zostawiła Ziggy’ego, a sama na cały dzień poszła w teren robić jakieś badania. Postanowił działać. Spędzał czas na wchłanianiu zapachów. W chacie i w pobliżu. Metodą luźnych skojarzeń próbował dopasowywać do nich fakty.

– Co robisz? – spytała Cherish.

Wróciwszy wieczorem do domu, zastała Ziggy’ego siedzącego na podłodze. Trzymał w ręku otwarty słoik miodu. Obok na ziemi leżały główka czosnku i kawałek mydła.

Na jej widok podniósł głowę.

– Nie obawiaj się, nie uprawiam żadnych dziwacznych praktyk seksualnych. – Wytłumaczył, co robi i dlaczego.

– To dobry pomysł – pochwaliła go. Usiadła na krześle, z podwiniętymi

nogami.

Obejmowała go nimi ostatniej nocy. Zastanawiał się, czy podczas dnia Cherish wracała do niej myślami. I czy zwróciła uwagę na to, że ich ciała tak idealnie do siebie pasują.

Po chwili ponownie usłyszał jej głos.

– Udało ci się przypomnieć sobie jakieś fakty? – zapytała.

– Nie. Jeszcze nie. Ale coś zaczyna chodzić mi po głowie. – Zamknął oczy. Usiłował się skoncentrować. Miał ochotę podejść do Cherish i ją uścisnąć. Pragnął, aby go objęła. Chciał zapytać, co robiła przez cały dzień, jak się jej udały badania i czego właściwie dotyczą, lecz zamiast tego powiedział: – Wycieraczka przed chatą pachnie koniem. Jeżdżę konno. Mam lub miałem własnego ogiera. Pięknego araba. Czarnego, bardzo nerwowego...

– Ziggy? Jesteś pewny? Taki koń kosztuje przecież majątek!

– Wiem. – Wzruszył ramionami. Niech Cherish myśli sobie, co chce. – Przypominam sobie także kobietę...

– To do ciebie podobne – mruknęła pod nosem.

– Pierwszą kobietę w moim życiu.

– Jaki zapach ci ją przypomniał? – spytała. Uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

– Żaden. Na grzebieniu zobaczyłem twoje włosy. Ona też była ruda. Ale starsza od ciebie.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Nie wiem. Byłem młody.

– A ta kobieta była starsza niż ja?

– Nie udawaj, że jesteś zgorszona – powiedział z cynicznym uśmiechem na twarzy. – Jak sądzisz, kto uczy chłopaków, jak trzeba się kochać? Tak samo jak oni uczą niedoświadczone dziewczyny?

– To dość ciekawy temat. W niektórych społeczeństwach... – zaczęła Cherish.

Ziggy przeczuwał, że zanoszi się na długi i poważny wykład. Przerwał jej szorstko.

– W każdym razie nie przypominałem sobie, kim jestem. – W jego głosie przebijało rozgoryczenie.

Po chwili Cherish powiedziała:

– Babka Martinez ma pewien pomysł, żeby ci pomóc.

– Czy użyje gotowanego boa dusiciela?

– Nie wiem – uczciwie przyznała Cherish. – Chyba nie.

Ziggy popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem. – Mów dalej.

- A więc babka Martinez chce urządzać *dugu*.
- Świetnie. Niech go sobie urządza i robi, co jej się żywnie podoba.
- Nie kpij, proszę.
- Przepraszam – mruknął pod nosem.
- Widzę, że poczułeś się już lepiej.
- Odkrywanie, że nie mam uszkodzonego mózgu, zawsze poprawiało mi nastrój.

Cherish westchnęła, ale Ziggy po prostu miał ogromną ochotę roześmiać się i z trudem zachowywał powagę. Czuł się teraz sto razy lepiej niż rano. Niemal zapomniał, jak wielkim tchórzem okazał się w nocy.

– Ziggy, posłuchaj. *Dugu* to bardzo poważna sprawa. Wspaniała ceremonia. Najważniejsze i najbardziej uroczyste obrzędy w religii wyznawanej przez Garifuna.

- Sądziłem, że mieszkańcy wyspy są katolikami.
- Wiara katolicka i pogańskie obrzędy tutaj ze sobą współistnieją.
- Powiadasz: obrzędy?
- Religia. To słowo oznacza obie te rzeczy. *Dugu* – łączy w sobie rytuały katolickie, afrykańskie i karaibskie. Posługuje się fetyszami, amuletami i symbolami. Na ten temat niewiele dotychczas opublikowano dla szerszego kręgu czytelników. Mogę ci jednak polecić kilka dobrych opracowań...

Ziggy przerwał Cherish, bo zanudziłaby go na śmierć listą lektur, które powinien przeczytać.

- Dlaczego babka Martinez sądzi, że te obrzędy mi pomogą?
- Służą do wypędzania złych duchów.
- A więc nadal uważa, że moja amnezja jest diabelską sprawką? – Uznał, że jeśli będzie często i regularnie używał słowa „amnezja”, przestanie ono tak okropnie brzmieć. – Babka Martinez to dobra kobieta i nie mam najmniejszego zamiaru wyśmiewać się z jej praktyk religijnych, wiary w magiczne siły i zabobony. Ale ty nie wierzysz w przesady. Jesteś przecież człowiekiem oświeconym. I do tego naukowcem.

– Jest niezupełnie tak, jak przypuszczasz. – Z poczuciem winy Cherish spuściła głowę.

– Wobec tego jak? – Kiedy przez dłuższy czas nie usłyszał odpowiedzi, zrodziło mu się w głowie straszliwe podejrzenie. – Powiedz mi, Doc, na czym właściwie polega *dugu*? – To święto pojednania. Cała ceremonia składa się z rytualnych obrzędów, muzyki i śpiewów, bezustannego tańca, składania zwierząt w

ofierze...

– Posłuchaj! Nikt nie będzie zarzynał kozła na mój rachunek! – ostro zaprotestował Ziggy.

– Nie wiem, czy będzie to kozioł, czy... – Głos Cherish stawał się coraz bardziej niepewny.

– Powiedz mi szczerze, Doc, ile razy uczestniczyłaś w tej ceremonii?

– Chodzi ci o to, ile razy... ?

– Tak.

– Ani razu – wyznała, z dużym zainteresowaniem przyglądając się ścianie nad głową Ziggy’ego.

– Dlaczego? – Milczała. A więc nie mylił się!

– Doktor Love, czy w tych obrzędach wolno brać udział tylko tubylcom?

Skinęła głową.

– To nie do wiary! – wykrzyknął. – Chcesz mnie wykorzystać jak doświadczalną świnkę morską!?

Wzruszyła ramionami.

– Przesadzasz.

– Dla ciebie to jedyna okazja zobaczenia tej ceremonii. Jesteś zachwycona. Pewnie teraz dziękujesz swej szczęśliwej gwiazdce, że pchnięto mnie nożem, uderzono w głowę i wrzucono do morza!

– Ziggy – zaczęła Cherish lodowatym tonem – bardzo wątpię, czy kiedykolwiek w życiu będę wdzięczna niebiosom za to, że zesłały cię na Voodoo Caye. Skoro jednak zostałeś uratowany i znalazłeś się tutaj, nie powinieneś odrzucać życzliwej pomocy tubylców. A ponadto jeśli udałoby mi się opublikować relację z *dugu*, otrzymałabym z pewnością fundusze na dalsze badania. Gdybyś więc odmówił wzięcia udziału w tej ceremonii, byłbyś ostatnim lajdakiem!

Wysłuchał spokojnie przydługiej tyrady. Popatrzył przez chwilę na Cherish, a potem powiedział:

– Czy wiesz, że jesteś ładna nawet wtedy, kiedy się tak okropnie złościś?

– Och! – Wstała z krzesła i wyszła z chaty.

– Naprawdę tak myślę. – Tych słów Ziggy’ego wysłuchały już tylko cztery puste ściany.

Cherish zaczęła go ostentacyjnie ignorować. Milczała podczas całej kolacji. Potem zostawiła samego w chacie i poszła na spacer brzegiem morza oglądać zachód słońca.

Ziggy początkowo był wściekły. Jak zraniony niedźwiedź miotał się po chacie.

Miał przecież jakieś własne życie, z dala od tej nieznośnej kobiety i jej antropologicznych obsesji! Gdyby tylko wiedział, jak i gdzie toczyła się jego dotychczasowa egzystencja... Zgnębiony, westchnął głęboko.

Cherish wróciła z długiego spaceru. Po wejściu do chaty zasiadła natychmiast do biurka i przy świetle lampy gazowej notowała coś zawzięcie przez pełne dwadzieścia minut.

– Grubo się mylisz, jeśli sądzisz, że twoje milczenie sprawi, iż zmienię zdanie – powiedział Ziggy.

– Nigdy nie stosuję takich metod – odparła Cherish wyniośle. – Wszelkie manipulacje są mi zupełnie obce.

– Czyżby? – Zbliżył się do biurka. Stał za plecami dziewczyny i zajrzał jej przez ramię. – Przez dwadzieścia minut zdążyłaś napisać zaledwie jedno zdanie. Robisz to dlatego, żeby siedzieć odwrócona do mnie plecami?

Głośno zamknęła notes i podniosła się zza biurka. Wyglądała jak chmura gradowa. Napotkała wzrok Ziggy’ego i nagle ni stąd, ni zowąd zaczęła się śmiać.

– Tak. Masz rację. Zachowałam się jak obrażone dziecko.

– Czy *dugu* aż tak bardzo liczy się dla ciebie? – zapytał.

– Tak – odparła.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

– Mówiłam!

– Nie. Wykrzykiwałaś coś o pieniądzach na badania i nazwałaś mnie łajdakiem.

– Przepraszam – mruknęła pod nosem.

– Dam ci dobrą radę. Na miód złapiesz więcej much niż na ocet. – Lubieżne spojrzenie Ziggy’ego przesunęło się powoli wzdłuż ciała Cherish. – A ja bardzo lubię miód. Wprost uwielbiam...

– Przestań. Przecież cię przeprosiłam.

Uśmiechał się z satysfakcją.

– Nie mogłem się opanować. Odezwały się we mnie pierwotne instynkty. Samcze.

– Bzdura. To sprawa kultury bycia. Ogłady.

– Gdybym wiedział, kto i gdzie mnie wychowywał, moglibyśmy sobie na ten temat podyskutować. – Ta kobieta musi wreszcie zrozumieć, że tylko dobrocią robi z nim, co zechce. To znaczy wszystko. – Możesz mnie poprosić, abym wziął udział w *dugu*. Dlatego, że tobie na tym zależy. O osobistą przysługę.

– O osobistą przysługę? – prychnęła. – Przecież chodzi mi o fundusze na dalsze badania. Nie będę się z tobą targowała. Takie postępowanie jest mi obce. Ustępstw

nie uznaję.

– Dlaczego? Przecież całe życie składa się z kompromisów. Cherish, pójdz na ugodę. Chociaż na chwilę odstęp od swych niewzruszonych zasad.

– Nie wiedziałam, że jesteś filozofem.

– Nie pytałaś. Doc, zaczynam mieć słabość do ciebie. Dlaczego nie poprosisz mnie ładnie? Tak, jak kobieta prosi mężczyznę?

– Nigdy w ten sposób niczego nie załatwiam – odparła z godnością.

– Wiele tracisz. Całą radość życia.

– Byłoby to nieprofesjonalne postępowanie.

– Lecz ze względu na okoliczności... – Przecież... Przecież... frymarchenie własnym...

– Ciałem? Urodą?

– Chciałam powiedzieć, że to nieetyczne. Gdyby kobiety tak postępowały, mężczyźni byliby przekonani, że mogą... mogą... Jak to powiedzieć delikatnie?

– Że mogą wskoczyć ci do łóżka i sobie pofiglować w zamian za to, że zrobili ci przysługę?

– Masz dziwny sposób wyrażania myśli. – Cherish była zde gustowana.

– Ale o to ci chodziło?

– Tak.

Westchnął.

– A więc dlatego nie możesz mnie ładnie poprosić o przysługę? Bo sądzisz, iż wówczas pomyślę, że mam prawo dobierać się do ciebie?

– Czy musisz być aż tak wulgarny?

– Słuchaj, Cherish. Przysięgam na życie matki, kimkolwiek jest, że jeśli ty i ja... Jak to powiedzieć delikatnie?

– Nie trudź się – syknęła.

– W każdym razie „to”, o czym myślimy, nigdy nie stanie się dlatego, że jesteś mi coś winna lub że uznam, iż mam do „tego” prawo. „To” może stać się tylko wtedy, kiedy powiesz mi, że tego pragniesz. – Ziggy przysunął się bliżej do Cherish i dodał z figlarnym błyskiem w oku: – O tym, że ja mam na ciebie ochotę, już się przekonałaś... – Przyglądał się jej z uśmiechem.

– Trudno się z tobą dogadać – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Wręcz przeciwnie. Bardzo łatwo. W rękach rudowłosych antropologów rodzaju żeńskiego staję się łagodny jak baranek. Robię to, co mi każą.

– Ziggy, jesteś niemożliwy. – Cherish odepchnęła go od siebie. – Powiedz mi, niech zrozumiem, dlaczego masz tak bardzo negatywne nastawienie do *dugu*?

Można by przypuszczać, że proszę cię o zrobienie czegoś strasznego.

– Zwierzęta ofiarne? Fetysze i amulety? Bezustanny taniec? Nie powiedziałaś mi nawet, jaka muzyka jest w programie. A jeśli będzie to rock albo coś operowego? – Teatralnym gestem załamała ręce i jęknął głośno.

Cherish usiłowała zapanować nad sytuacją.

– Zbaczamy z tematu – powiedziała spokojnym głosem. – Na Voodoo Caye przyjechałam po to, aby poznać zwyczaje tubylców. I to, że chcę skorzystać z nadarzającej się okazji i zobaczyć miejscowe obrzędy, nie jest niczym zdrożnym. A w twoich ustach zabrzmiało to tak, jakbym chciała cię użyć do zrobienia czegoś niemoralnego.

– Użyj mnie, proszę! Natychmiast. Uwielbiam rzeczy niemoralne.

Spojrzała na Ziggy'ego wzrokiem bazyliuszka. Nic więcej nie odważył się powiedzieć. Podniósł ręce do góry.

– Poddaję się. Już więcej nie będę cię drażnił.

Przepraszam.

Popatrzyli w milczeniu na siebie i nagle pojęli, że dyskusja jest skończona. Pierwsza odezwała się Cherish:

– Czy zgodzisz się przynajmniej porozmawiać z babką Martinez na temat *dugu*? Zrobisz to dla mnie?

Skinął głową i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jasne, Cherish. Z największą przyjemnością. – Nie mógł się jednak powstrzymać i dodał: – Wiesz, fajnie jest, kiedy możemy oboje spokojnie ze sobą rozmawiać. Jak rozsądni, dorośli ludzie.

Rozdział 6

Nie mogła spać. Tej upalnej, tropikalnej nocy Cherish bezustannie wracała myślami do wydarzeń sprzed dwudziestu czterech godzin, kiedy to leżała bezsennie na hamaku, przytulona do uciążliwego, aczkolwiek fascynującego gościa. To on uprzytomnił jej, że powonienie należy do najsilniej pobudzających zmysłów. Zamknęła oczy. Znow poczuła wokół siebie odurzający zapach rozgrzanej skóry Ziggy'ego, ulotny aromat szamponu do włosów, ostrą woń potu na szyi i zapach rumu, którym miał przesycony oddech.

W dzień Cherish nie dopuszczała do siebie żadnych tego rodzaju myśli i odczuć. Odpędzała także smutek, który ją ogarniał na widok bezsilnej walki Ziggy'ego o życie tamtej nocy, którą wciąż przeżywał w koszmarach sennych. Przede wszystkim jednak zabraniała sobie wszelkiej czułości w stosunku do tego mężczyzny. Takiej, jaka ogarnęła ją wówczas, gdy w jego ręce wsuwała małego, pluszowego królika po to, aby przestał się męczyć i zapadł w spokojny sen.

Nie powinna interesować się Ziggym. Wiedziała dobrze, iż jest dla niej nieodpowiednim mężczyzną, mimo że pod maską frywolnego kpiarza ukrywał swoje prawdziwe oblicze. Ostatniego wieczoru powiedział więcej niż zwykle. Mówił, że życie każdego człowieka składa się z kompromisów.

Znow słyszała jego głos:

– Cherish, pójdź na ugodę. Chociaż na chwilę odstęp od swych niezłomnych zasad.

Był pewnie rozczarowany jej niewzruszoną postawą. No cóż, w życiu nie kierowała się instynktem. Unikala zbędnych emocji i wszelkiego ryzyka. W egzystencji, którą sobie stworzyła, nie było na nie miejsca. Wybrała inną drogę. Jako naukowiec kierowała się intelektem. Prowadziła spokojny i unormowany tryb życia.

Zwróciła głowę w stronę okna. Chłonęła teraz zapachy tropikalnej nocy. Słodką woń jaśminu, wistarii, hibiscusa i oleandra. Nigdy przedtem nie zdawała sobie sprawy z tego, że te upojne wonie pobudzają zmysły i działają podniecająco. Poruszyła się niespokojnie na łóżku. Objęła rękoma poduszkę.

Może powinna zajrzeć do Ziggy'ego i sprawdzić, czy spokojnie śpi i regularnie oddycha? Może znow przeżywa koszmary senne? Wstała z łóżka. Nagle jednak uprzytomniła sobie, że jest to tylko pretekst. Pragnęła zobaczyć tego intrygującego mężczyznę i znaleźć się w pobliżu niego.

Opanowała pokusę. Podeszła do okna. Oparta o framugę, obserwowała wąski sierp księżycy jaśniejący na ciemnym niebie.

– Wydaje się być tak blisko, że wystarczy sięgnąć ręką i zdjąć go z nieba. – Za plecami Cherish usłyszała męski głos. Czyżby telepatycznie ściągnęła Ziggy’ego do siebie?

– Sądziłam, że śpisz – szepnęła.

– Nie mogłem zasnąć. Siedziałem na werandzie. Miałem ochotę iść nad brzeg morza.

– Dobry pomysł.

– Usłyszałem, że wstałaś z łóżka. Chciałem zobaczyć, w jakiej jesteś formie. W dobrej?

– Tak – odparła cicho.

– W ciemnościach widziała tylko zarys sylwetki mężczyzny. Odniosła wrażenie, że jest dziwnie spięty.

– Wiedziałem, że nic ci nie jest – przyznał się po chwili. – Nie po to tutaj przyszedłem.

Ziggy powiedział to poważnym tonem. Cherish wyczuła, że nie zamierza jej uwodzić. Spytała:

– Chcesz pogadać?

– Nie. – Zamilkł na chwilę. – Potrzebowałem towarzystwa.

– Wiem. Noce są dla ciebie ciężkie.

– Czuję się jak dzieciak, który boi się, że zaraz z szafy wyjdą potwory.

Przyszło jej do głowy, że to wyznanie musi dużo kosztować Ziggy’ego.

– Połóż się. Posiedzę przy tobie – zaproponowała.

– Dobrze. Prawdę mówiąc, o niczym innym nie marzę. Chociaż w tak romantyczną, księżycową noc, u boku pięknej kobiety, powinienem myśleć o czymś zupełnie innym... – Ziggy zawiesił głos.

– Już od dawna wiem, że twoich nastrojów i zachowań w żaden sposób nie da się przewidzieć – powiedziała Cherish żartobliwym tonem i roześmiała się.

W ciemności nie mogła dojrzeć twarzy stojącego obok mężczyzny. Była jednak pewna, że w tym momencie znacznie się rozluźnił i uspokoił.

Wczesnym rankiem w chacie zjawiała się babka Martinez. Wyjaśniła pokrótce Ziggy’emu, na czym polega ceremonia *dugu*. Nie zważała na wyraz powątpiewania malujący się na jego twarzy. W każdym razie Ziggy słuchał jej słów uważnie i zachowywał się uprzedzająco grzecznie.

Po wyjściu starej kobiety Cherish zaczęła przyglądać się swemu

podopiecznemu. Wyglądał okropnie. Jak łązega. I nie mogła temu zaradzić. Miał na sobie następną parę jej szortów i jaskrawą koszulę pożyczoną od Petera Sacqui. Pokierszowana twarz i gęsty zarost pogarszały ogólne wrażenie.

– Powinieneś się ogolić – powiedziała po chwili.

Przesunął ręką po brodzie.

– Chyba tak. Moja gęba jest szorstka jak papier ścierny. Czy masz żyletkę lub coś w tym rodzaju?

– Tak. Brzytwę. Używam jej do golenia nóg.

Krzywym okiem popatrzył na różowy instrument, który wyjęła z szuflady.

– Przyrząd, który zwykle stosuję, wygląda chyba inaczej – mruknął pod nosem.

– Nie szkodzi – odrzekła pogodnie. – Popatrz! Mam nawet krem do golenia. – Otworzyła tubkę.

– Poczulem. O cytrynowym zapachu. – Skrzywił się z niesmakiem.

Zaczął podnosić się z krzesła, lecz Cherish przytrzymała go na miejscu.

– Siedź spokojnie. Sama cię ogolę. Nie bój się – dodała, widząc przestraszoną minę Ziggy’ego. – Nic ci się nie stanie.

– Będzie lepiej, jeśli ja to zrobię.

– Poranionymi rękami i z chorym ramieniem?

– Nie jestem inwalidą – warknął. Cherish zobaczyła, że zrobił ponurą minę. Jak zawsze, kiedy jego wzrok spoczął bezwiednie na tajemniczych śladach po sznurach, widniejących na przegubach dłoni.

– Ziggy, pozwól mi – poprosiła Cherish. – Umiem to robić. Często goliłam swojego dziadka.

Nie dowierzał umiejętnościom tej kobiety, lecz zaniechał oporu. Siedział spokojnie. Bez ruchu. Dopóki nie zaczęła nakładać mu na twarz grubej warstwy cytrynowego kremu.

– Nie smaruj mnie! – zaprotestował. Kichnął głośno.

– Czy u fryzjera też zachowujesz się tak okropnie?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

Uległ łagodnej perswazji i poddał się jednak. Cherish przystąpiła energicznie do działania.

– Nie musisz robić z siebie męczennika – upomniała delikwenta.

Zobaczyła, że jest zirytowany. Spytała, dlaczego.

– Nie dość, że z umazaną gębą wyglądam jak błazen i mam brzytwę przyłożoną do gardła? Chcesz jeszcze, abym udawał, że to, co robisz, jest zabawne? – warknął ze złością.

Prawdę powiedziawszy, Cherish nie miała pojęcia, czemu uparła się, żeby własnoręcznie go ogolić. Czy dlatego, że dotykanie Ziggy'ego sprawiało jej przyjemność?

– Twoje oko wygląda już znacznie lepiej – stwierdziła. – Zeszła opuchlizna. Zmniejszyły się siniaki. Maść, którą dała babka Martinez, podziałała doskonale. Duża blizna na policzku też już się goi. – Mimo to jednak bardzo uważała, goląc Ziggy'emu pokiereszowaną część twarzy.

– Kolano też jest już w niezłym stanie – dodał. Pod naciskiem ręki Cherish uniósł posłusznie podbródek.

– To dobrze. – Zmieniła temat. – Powiedz, co sądzisz o *dugu*? Wzruszył zdrowym ramieniem.

– Zgodziłem się uczestniczyć w tym cyrku. Na szczęście, tym razem ceremonia potrwa tylko jedną dobę, a nie, jak zwykle, cały tydzień. Dlatego że jest organizowana ad hoc, bez odpowiedniego wyprzedzenia. Informacje te pochodzą, jak pewnie się domyślasz, od babki Martinez – dodał lekko kpiącym tonem.

– Tylko jedną dobę? – powtórzyła Cherish. Na próżno usiłowała ukryć rozczarowanie.

– Nic nie mówiłaś, Doc, że chodzi o imprezę, która – ma ciągnąć się aż cały tydzień. Powinnaś mnie o tym uprzedzić. – Uszczypnął ją w ramię.

– Bo...

Machnął ręką. Całej tej sprawy nie traktował przecież poważnie.

– Nie martw się – pocieszył Cherish. – Nos do góry.

Popatrz na wszystko z innej strony. Gdyby nie ja, w ogóle byś *dugu* nie zobaczyła. Mam rację?

W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami. Ziggy ciągnął dalej:

– Jak zdążyłem się zorientować, na Voodoo Caye wszyscy tubylcy mówią po angielsku. Śpiewnie, w sposób typowy dla mieszkańców Wysp Karaibskich. Ale jakim językiem posługują się na co dzień? Nie mogłem zrozumieć ani słowa, kiedy rozmawiali między sobą. Kim właściwie są ci ludzie?

– Garifuna? To potomkowie mieszkańców zachodniej Afryki, którym w siedemnastym wieku udało się uciec ze statku należącego do handlarzy niewolników. Osiadł na mieliźnie przy małej wysepce w pobliżu St. Vincent. Z biegiem lat przybysze zasymilowali się z zaludniającymi te ziemie karaibskimi Indianami i stworzyli specyficzną społeczność. Jedyną w swoim rodzaju.

– Stąd do St. Vincent jest przecież kawał drogi! Jak się tu dostali? – zapytał Ziggy.

– Nie ruszaj się – ostrzegła Cherish, kiedy odruchowo zwrócił twarz w jej stronę. – Opierali się angielskim kolonizatorom i walczyli z nimi aż do końca osiemnastego wieku. Kiedy zginął ich wódz, rebelię stłumiono. Tubylców deportowano na wyspy w pobliżu Hondurasu, który stanowił wówczas część brytyjskiego imperium. W dziewiętnastym wieku ci ludzie, Garifuna, zaczęli się przenosić coraz bardziej na północ, osiedlając się wzdłuż wybrzeża i na wyspach.

– – Są teraz rozrzućeni po całej Ameryce Środkowej?

– Tak. Początkowo jednak osiedlili się tutaj, w Belize. W głębi kraju jest jeszcze kilka sporych miast, które były kiedyś ich siedzibą.

Nadal stojąc, Cherish wsunęła się między nogi Ziggy’ego, żeby mieć łatwiejszy dostęp do jego podbródka.

– Badasz ich zwyczaje? – zapytał.

– Tak – odparła, nie przerywając golenia. – Garifuna są bardzo dumni ze swoich tradycji i je kultywują. W nie skażonej postaci zachowali pierwotne obyczaje. Takie wyizolowane, hermetyczne społeczności, jak ta na Voodoo Caye, stały się w dzisiejszych czasach prawdziwą rzadkością. Są pasjonującym obiektem badań dla antropologa. – Cherish odsunęła rękę z brzytwą od twarzy Ziggy’ego i poprosiła: – Odchyl głowę.

– W jaki sposób tutaj się znalazłaś? – Ziggy poruszył się na krześle i kolanami ścisnął lekko nogi Cherish.

– Nie mogę pojąć, dlaczego dziewczyna, która nie tylko skończyła college, lecz także zdobyła stopień naukowy, decyduje się wyjechać na całe lata na odległą wyspę bez telefonu i pięciogwiazdkowych hoteli po to, żeby prowadzić badania nad zwyczajami grupy ludzi, o których większość Amerykanów nigdy nawet nie słyszała?

– Kiedy Grimly dał mi tę pracę, moja biedna mama przez cały tydzień szukała Voodoo Caye na mapie – z uśmiechem na twarzy przyznała Cherish. – A tata w żaden sposób nie potrafił zapamiętać, jak nazywają się mieszkańcy wyspy. Wreszcie na kartce papieru napisał sobie „Garifuna” i włożył ją do portfela.

Ziggy także się uśmiechnął. Ostrożnie, gdyż Cherish jeszcze nie skończyła golić mu podbródka.

– Masz wystarczające kwalifikacje do prowadzenia takich badań? – zapytał.

– Oczywiście! – obruszyła się. – Z wyróżnieniem skończyłam studia i zrobiłam doktorat z antropologii. Moja rozprawa doktorska dotyczyła badań nad przemieszczaniem się kultur w wyniku handlu afrykańskimi niewolnikami. Ja...

– Nie tak szybko, Doc. – Kolanami Ziggy ścisnął mocniej nogi Cherish i

przyciągnął ją bliżej do siebie. – Nie zamierzałem kwestionować twoich kwalifikacji naukowych. Chcę tylko znać odpowiedź na pytanie, dlaczego wylądowałaś właśnie na Voodoo Caye, a nie w innym miejscu, znacznie bardziej interesującym dla większości antropologów.

– No, cóż...

Ziggy objął ją wpół.

– Jesteś trochę przewrażliwiona na punkcie swojej pracy, nieprawdaż?

Nie odpowiedziała. Odwróciła głowę.

– Golenie skończone – stwierdziła. – Wyglądasz jako tako.

– Powiadasz: jako tako? Piękne dzięki – mruknął z kwaśną miną. – Zastanawiam się, ile kobiet obdarzyło mnie dotychczas aż tak wspaniałym komplementem. Postaram się, żeby woda sodowa nie uderzyła mi do głowy.

Słyszając te słowa, musiała się roześmiać.

– No dobrze. Wyglądasz lepiej niż jako tako. Bez okropnego zarostu i z gojącą się twarzą jesteś całkiem przystojny. Pewnie przywykłeś do tego, że łamiesz serca kobietom.

– Być może. Ale powiedz, dlaczego tak bardzo się najeżyłaś, kiedy zacząłem pytać cię o kwalifikacje?

Cherish westchnęła głęboko.

– Nie zrozumiesz tego. Jesteś przecież mężczyzną.

– Fakt. – Uśmiechnął się uwodzicielsko i przyciągnął Cherish do siebie tak blisko, że brzuchem dotknęła – jego piersi. Z wrażenia upuściła brzytwę na ziemię. Ziggy popatrzył jej w oczy. – Jeśli masz co do tego jakieś wątpliwości, z największą przyjemnością zaraz je rozproszę.

– Daj mi spokój!

– Sprawdź. – Próbowała się wyrwać, więc przytrzymał ją mocniej. Odepchnęła rękę Ziggy'ego. Zobaczyła, że skrzywił się z bólu, lecz uchwytu nie rozluźnił. Z westchnieniem się poddała. Pozwoliła, żeby posadził ją sobie na kolanach.

– No i jak? – zapytał.

Czuła dotyk ud Ziggy'ego, umięśnionych ramion, a także ręki, którą obejmował ją w talii. Spojrzała na jego twarz. Wyglądał już rzeczywiście lepiej. Był naprawdę przystojnym mężczyzną. Odepchnęła dłoń Ziggy'ego, którą zaczął głaskać jej brzuch.

– Właśnie to, co teraz robisz, sprawia, że natychmiast się najeżam – powiedziała ostrym tonem.

– Nie lubisz, kiedy ktoś cię dotyka? – zapytał. W jego głosie przebijało

zdziwienie. Zaprzestał jednak pieszczoty i spojrzał Cherish w twarz.

– Nie lubię obleśnych spojrzeń mężczyzn – odparła. – Nie znoszę głaskania, obłapiania, zaczepiania, nagabywania i podrywania – wyliczyła niemal jednym tchem.

Ziggy popatrzył w milczeniu na Cherish, a potem z nieprzeniknioną twarzą zsunął ją delikatnie z kolan i podniósł się z krzesła. Przeszedł przez izbę i zatrzymał się przed małym lusterkiem wiszącym na ścianie, sprawdzając rezultat golenia. Było to zresztą jedyne lustro, jakie znajdowało się w tej chacie.

– Czy tak reagujesz na zachowanie się wszystkich mężczyzn, czy tylko na moje?

– Jest jakaś różnica? – spytała cierpko. Zmęczona, usiadła ciężko na krześle, które Ziggy dopiero co zwolnił.

– Spojrzał na nią przez ramię.

– Jest. Możesz mi wierzyć.

– A niby to dlaczego? – Cherish potrząsnęła głową. Nie dopuściła Ziggy’ego do słowa. – Mężczyznom zawsze chodzi tylko o jedno. Po raz pierwszy przekonałam się o tym mając zaledwie czternaście lat. Każdy chłopak w szkole chciał umawiać się ze mną na randki. Nie dlatego, że byłam bystra i inteligentna...

– Droga doktor Love – przerwał jej Ziggy – żaden normalny młody chłopak nigdy nie umawia się z dziewczyną dlatego, że jest bystra i inteligentna.

– I nie dlatego, że podobał mu się mój charakter – ciągnęła niewzruszenie – lub że sądził, iż będę wesołym i dobrym kompanem. I nie dlatego, że byłam dobra z geometrii lub potrafiłam słuchać zwierzeń. Każdy chłopak chciał iść ze mną na randkę tylko dlatego, że byłam rudym, seksownym kociakiem o klawych, dużych cycach.

Ziggy skrzywił się z niesmakiem. – To działa się przecież jeszcze w szkole. W szczenięcych latach. Od tamtej pory z pewnością...

– W college’u było jeszcze gorzej. Miałam tam do czynienia z chłopakami, którzy wyrwali się spod rodzicielskiej opieki i którym hormony uderzały do głowy. Wszyscy co do jednego byli pewni, że dziewczyna nazywająca się Cherish Love zaraz rozłoży przed nimi nogi.

– Skąd masz takie imię?

– Wymysł mojej matki. Zresztą twoje jest niewiele lepsze – odcięła się z miejsca.

Ziggy przemierzał tam i z powrotem małe pomieszczenie. Unikał wzroku Cherish.

– Nigdy nie patrzyłem na te sprawy z twojego... to znaczy z kobiecego punktu widzenia. – Sprawdzał teraz, jak zachowuje się chore kolano, i wykonywał ostrożne ruchy zranionym ramieniem. – Nie pamiętam, jaki byłem mając dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, ale pewnie chciałbym wówczas umawiać się z tobą na randki z identycznego powodu, jak ci chłopcy, o których mówiłaś. Mam jednak nadzieję, że nie mówiłbym ci, że masz klawe, duże cycki i nie domagałbym się, żebyś przede mną rozkładała nogi.

– Och, jestem pewna, że wyrażałbyś się bardzo gładko! – W ustach Cherish nie był to komplement.

– Łózkowa dziewczyna. Czy nie tak mnie nazwałeś?

– Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość. – Postanowił rozluźnić atmosferę. – Ja tam się cieszę, że jestem diabelnie przystojny. – Jeszcze raz z zadowoloną miną spojrzął w lusterko.

Cherish usiłowała ukryć uśmiech.

– Tak, ale ty mógłbyś przejść bezpiecznie obok grupki robotników z pobliskiej budowy. – Westchnęła.

– Dlaczego mężczyźni są zawsze przekonani, że kobiety lubią, kiedy facet je podrywa?

Ziggy usiadł na krześle naprzeciw Cherish i zapytał ją poważnym tonem:

– Może jestem ci winien jakieś przeprosiny?

Była zdziwiona.

– Za co? Nie jesteś przecież odpowiedzialny za każdego faceta, który szczypał mnie w pośladki lub podawał rozmiary swego...

– Oczywiście, że nie. Miałem na myśli wyłącznie siebie.

Cherish nie wiedziała, co powiedzieć. Czyżby Ziggy chciał ją przeproszać za zainteresowanie, które jej okazywał, za gorące pocałunki, zbyt osobiste pytania i typowo męskie propozycje?

Uprzytomniła sobie nagle, że do tego jedynego mężczyzny nie ma pretensji o to, że od pierwszej chwili, w której się spotkali, prowadził miłą, choć niekiedy niepokojącą, zmysłową grę. Zabawę w kotka i myszkę.

Milczała. Po chwili Ziggy zapytał łagodnym głosem:

– Czy dlatego tak bardzo zależy ci na właściwej ocenie twojej kariery zawodowej? Czy w pracy często cię nagabywano?

– Chodzi nie tylko o to. Każdy mężczyzna jest przekonany, że seksowna kobieta ma taki sam iloraz inteligencji, jak kapuściana głowa.

Zaczął się śmiać. Zobaczył jednak, że Cherish ma nadal poważną minę.

– Przecież nikt, kto cię pozna, nie może tak sądzić. To oczywiste.

– Oczywiście? Dla kogo?

– Dla mnie.

– Wielka szkoda, że nie kierujesz wydziałem antropologii w jakimś college'u.

Zupełnie nie wiadomo, dlaczego, zaczęła nagle zwierzać się Ziggy'emu ze wszystkich swoich kłopotów, o których nigdy przedtem nikomu nie mówiła. Być może sprawił to fakt, że przedtem słuchała jego nieprzytomnych słów wypowiedzianych w gorączce pod wpływem sennych koszmarów. Teraz Ziggy słuchał jej wyznań z życzliwością, o jaką nigdy by go nie posądziła jeszcze dwa dni temu.

– Odmówili ci stypendium tylko z powodu wyglądu? – zapytał zdumiony. – To niesłychane.

– Tak przynajmniej głosiła plotka. Nikt mi tego w oczy nie powiedział. To stypendium przyznano zresztą potem innej kobiecie. Ale pytania, jakie zadawała mi komisja na ostatnim przesłuchaniu, były zaskakujące.

– O co na przykład pytali?

– Czy zdaję sobie sprawę z tego, że miejsce, do którego chcę jechać, jest bardzo odludne i że nie będę tam miała komfortu, do którego przywykłam. Że moje – życie towarzyskie będzie bardzo ograniczone. Że będę musiała badać lokalne zwyczaje. I tak dalej. I tak dalej – ciągnęła Cherish ze złością. – Przecież to było oczywiste! Od samego początku wiedziałam, co mnie czeka. Potem doniesiono mi jeszcze, że jeden z członków komisji stypendialnej stwierdził, że nie potrafię obejść się dłużej niż tydzień bez salonu kosmetycznego w sąsiednim domu. I kto wie, co może się stać z moim sztucznie powiększonym biustem! Ziggy, kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy, coś takiego przeszło ci przez myśl?

Zanim się odezwał, mimo woli rzucił wzrokiem na pełne piersi Cherish.

– Jasne, że nie. Nie jestem ekspertem w tych sprawach, ale nic takiego nie przyszkłoby mi w ogóle do głowy. Przecież twój biust jest normalny.

– A reszta członków komisji uznała, że z powodu wyglądu nie nadaję się do prowadzenia badań naukowych.

– To znaczy, że jesteś zbyt ładna, by dobrze pracować?

– Tak. Aha, i jeszcze jedno. Mówili, że przez rok nie potrafię się obyć bez stosunków seksualnych – dodała zdegustowana.

– Nie wiem, czy sam zdobyłbym się na to – powiedział zamyślony Ziggy.

– Możesz mi wierzyć. To żaden problem. Przekonałam się o tym osobiście.

– Nie wiem, czy sam zdobyłbym się na to – powtórzył. Wrócił do głównego

wątku rozmowy. – Zapomnij, Cherish, o tym wszystkim. Miałaś do czynienia z zazdrosnymi kobietami. I mężczyznami, którzy sami chętnie poszliby z tobą do łóżka.

Cherish skrzywiła się z niesmakiem.

– W następnym roku moją kandydaturę brano poważnie pod uwagę na Uniwersytecie Barringtona, gdzie...

– Barringtona? Słuchaj, ta uczelnia jest mi znajoma!

– Tak? Tam studiowałeś? – Od razu pomyślała o sposobie wysławiania się Ziggy’ego. Może rzeczywiście pochodził z wyższych sfer i otrzymał staranne wykształcenie?

Po chwili milczenia ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nie wiem. Może mnie wyrzucono z tej uczelni?

A może umawiałem się z jakąś studentką z tego uniwersytetu? Nie mogę sobie nic przypomnieć. – Zastanawiał się jeszcze chwilę, a potem machnął ręką.

– Rozumiem, że nie dostałaś tej pracy.

– Nie dostałam. Szef wydziału antropologii zaprosił mnie do swego gabinetu na rozmowę w cztery oczy i natychmiast zaczął mnie obmacywać. Tak się wściekłam, że rąbnęłam go pierwszym lepszym przedmiotem, jaki miałam pod ręką. Była nim maska pośmiertna. Zniszczyłam ją. Bezwrotnie. A pana profesora uszkodziłam. Trochę.

– Już sobie wyobrażam, jak po tym fakcie ogromnie wzrosły twoje szanse na uzyskanie tej pracy! – wycedził przez zęby Ziggy. – Złożyłaś formalną skargę?

– Tak. Ale to nie miało większego sensu. Komu uwierzą na słowo? Ogólnie szanowanemu naukowcowi czy mnie? Byłam pewna, że moja skarga zostanie zignorowana.

– Szkoda, że nie zaczepiał cię przy świadkach.

– Sama żałuję. Ale, niestety, nagabywanie i molestowanie seksualne zawsze trudno jest udowodnić.

– Cherish wzruszyła ramionami. – Moje pismo pewnie nadal wędruje po uniwersytecie, z gabinetu do gabinetu.

– Ale nie przegrałaś. Dostałaś przecież tę pracę, która chyba jest dość ciekawa. Muszę uczciwie przyznać, że Voodoo Caye to całkiem sympatyczne miejsce, mimo że nie mogę iść tu na mecz Lakersów. Hej, jaką właściwie mamy obecnie porę roku?

– Jest luty. Lubisz koszykówkę?

– Jasne! Jestem zagorzałym kibicem Lakersów. Właśnie zdobyłem bilety na... –

urwał.

– Co chciałeś powiedzieć?

– Nie wiem. – Ziggy miał zawiedzioną minę. – Coś nagle przychodzi mi na myśl i zaraz potem umyka.

– Zobaczysz, powoli wszystko sobie przypomnisz – uspokoiła go Cherish.

– Być może, ale ta sytuacja jest nie do zniesienia!

– Ogarnięty poczuciem bezsilności, uderzył pięścią w stół.

– Wiem. – Cherish położyła rękę na jego zaciśniętej dłoni. Po chwili Ziggy zaczął spokojniej oddychać i wyraźnie się rozluźnił. – Już lepiej? – spytała.

– Tak. Kiedy zamierzasz popłynąć na ląd i zadzwonić do ambasady?

– Gdy tylko skończy się *dugu*.. Następnego dnia.

– Wkrótce sam będę mógł tam pojechać.

– Tak. – Na myśl, że Ziggy opuści wyspę, Cherish zrobiło się dziwnie przykro.

– Wezmą odciski palców. Zastanawiam się, co to da.

– Może nic.

– Może byłem notowany przez policję.

Nie potrafiła zaprzeczyć. Dodała spokojnie:

– Może masz żonę o imieniu Catherine.

– Może – przyznał. – Ale wtedy miałbym chyba obrączkę na palcu.

– Wielu żonatych mężczyzn nie nosi obrączek.

Wzruszył ramionami.

– Zastanawiam się, jak czuje się Catherine, nie mając ode mnie żadnych wiadomości.

Cherish powoli zdjęła dłoń z ręki Ziggy’ego.

– Muszę... Muszę już iść. Chcę obejrzeć przygotowania do *dugu*. To świetna okazja...

– Rozumiem – przerwał jej Ziggy.

– Sądzisz, że jutro będziesz w dobrej formie?

– Chyba tak. Już dziś czuję się znacznie lepiej. Pospaceruję trochę po wiosce. A potem może nawet wybiorę się nad morze.

– To dobry pomysł.

Cherish zatrzymała się w drzwiach. Patrzyła, jak Ziggy nachyla się nad umywalką i myje twarz. Nie przypuszczała, że rozstanie się, nawet na krótko, z tym intrygującym mężczyzną i zostawienie go samego w chacie, sprawi jej aż taką przykrość.

Rozdział 7

– W co wy się bawicie? – zawołała Cherish do Luke’a biegającego wśród gromady innych dzieci.

– Nie widzisz? Przecież gramy w kosza! – wykrzyknął rozpromieniony. – Ziggy nas nauczył. Jest naszym trenerem.

– Rzeczywiście? – spytała cierpkim głosem. Od czterech czy pięciu dni, od chwili gdy prawie zupełnie wydobrzała, jej nieproszony gość zrobił się niezwykle ruchliwy. Całe dni spędzał poza chatą. Bawił się z dziećmi. Bez przerwy konferował z dorosłymi. Na każdym kroku Cherish odkrywała ślady pobytu Ziggy’ego na wyspie. Najwyższy czas, żeby odbyć z nim poważną rozmowę, zdecydowała. Ten okropny człowiek musi wreszcie zrozumieć, co mu wolno, a czego nie. Powinna wyjaśnić mu to znacznie wcześniej, kiedy tylko usłyszała, że uczy miejscowe kobiety amerykańskiego żargonu. Im wcześniej porozmawia z Ziggyem, tym lepiej. – Zwróciła się ponownie do Luke’a: – Czy wiesz, gdzie Ziggy teraz jest?

– Mówił, że wybiera się nad morze. Pewnie poszedł na plażę! – odkrzyknął chłopak. – Doc, pokazać ci, czego się nauczyłem?

– Nie teraz. Innym razem. Dobrze, Luke?

– W porządku!

Ruszyła w stronę morza. Spodziewała się znaleźć Ziggy’ego w miejscu, w którym zobaczyła go po raz pierwszy.

Stał na mokrym piasku i jak urzeczony patrzył na morze. Miał na sobie tylko krótkie spodenki. Chyba po raz setny postanawiał, że wejdzie zaraz do wody i stawi czoło pierwszej wysokiej fali. I chyba po raz setny stał nieruchomo, tępym wzrokiem patrząc, jak chwilę później białe grzywy rozbijają się o brzeg. Na samą myśl o tym, że znów znajdzie się w morzu, paraliżował go strach. Tak obłądny, że robiło mu się niedobrze.

Poczekam na następną falę, postanowił.

Wiedział, że potrafi pływać. Świadczył o tym choćby fakt, że nie utonął podczas sztormu i dopłynął do brzegu. Miał niejasne przeświadczenie, że kiedyś lubił ten sport, a nawet go uprawiał. Teraz jednak każda zbliżająca się fala napawała go przerażeniem.

Zamknął oczy.

Ból. Krew. Rekiny. Jeszcze jedno zachłyśnięcie się słoną wodą. Znów zalewa

go fala i wciąga w otchłań. Mało brakowało, a zgubiłby koło ratunkowe. Zesztywniała ręką z trudem przyciskał do boku królika.

Przerażony, zastygł w bezruchu. Ze ściśniętym sercem słuchał, jak o brzeg rozbija się następna fala.

Do licha, powinien już chyba dać spokój torturowaniu pamięci i wrócić do chaty.

Nie, do domu iść nie może, bo tam jest Cherish. Kilka dni temu wyjaśniła mu, dlaczego pogardza nagabującymi ją mężczyznami. A on przecież do nich należał. Sądził wprawdzie, że usłyszane uwagi nie dotyczyły bezpośrednio jego samego, ale na wszelki wypadek postanowił schodzić jej z drogi.

Nie miał zamiaru rzucać się na Cherish ani traktować jej tak obcesowo, jak czynili to inni mężczyźni. Było jednak faktem, że ta kobieta do maksimum pobudziła jego zmysły. Mieszkając z nią pod jednym dachem, wiedział, że dłużej już nie wytrzyma.

Każdego ranka zjawiała się w kuchni ubrana w zniszczoną, workowatą sukienczykę. Na ten widok Ziggy odczuwał natychmiast przyływ pożądania. Czy ta ponętna kobieta nie zdawała sobie sprawy z tego, że po wielu praniach bawełniana tkanina stała się tak cienka, że przeświecało przez nią niemal całe ciało? Promienie porannego słońca, wpadające przez okno i otwarte drzwi chaty, złociły rude włosy Cherish, dodawały blasku nieco zaspanym zielonym oczom i podkreślały alabastrową biel skóry. Pod cienką sukienką uwidoczniały także zarys pośladków i ud. Czy ta kobieta wiedziała, że wieczorami Ziggy nie może zasnąć, bo kiedy tylko zamknie oczy, widzi jej nagie ciało? Czy zauważyła, że wczoraj rano tak szybko opuścił chatę dlatego, że nie potrafił zapanować nad widomą oznaką fizycznego podniecenia? Był to z pewnością jedyny objaw jego poprawiającej się kondycji, którego by nie pochwaliła.

Zobaczył następną wysoką falę biegnącą ku brzegowi. Teraz. Postanowił, że dłużej już czekać nie będzie. Zaraz da nurka do wody. Po ostatnich rozmyślaniach o Cherish zimna kąpiel dobrze mu zrobi.

Śmierć. Woda. Krew.

Ponownie ogarnął go paraliżujący strach. Wzrokiem półprzytomnym z przerażenia patrzył, jak fala rozbija się o brzeg.

Prawdziwą torturą były noce. Już wieczorem ledwie znosił bliską obecność tej kobiety, kiedy krzątała się po chacie, sprzątała i słała sobie łóżko. Nie mógł oderwać od niej wzroku, gdy wracała spod prysznicza zaróżowiona, z wilgotnymi włosami. Był tak wyczulony, że słyszał delikatny szelest prześcieradeł, kiedy

kładła się do łóżka, a nawet lekkie westchnienia przez sen. Myślał o niej bez przerwy. Przez cały czas był świadomy fizycznej bliskości tej kobiety. Przez nią tracił zmysły. Sprawiała, że na niczym innym nie potrafił się skoncentrować.

Najgorsze do zniesienia były jednak nocne, ukradkowe wizyty Cherish. Podchodziła po cichu do hamaka i brała Ziggy'ego w ramiona. Chroniła go przed demonami, które opanowały jego umysł i nie pozwalały spokojnie spać. Od koszmarów sennych stały się jednak gorsze te chwile, w których odchodziła i bezszelestnie wracała do swego łóżka. Pustka, a także nie zaspokojone, trzymane na wodzy zmysły, sprawiały, że stawał się jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

Pożądał tej kobiety. Pragnął dotykać jej delikatnej, alabastrowej skóry. Chciał ją całować, pieścić i dawać jej rozkosz.

A Cherish? Marzyła tylko o tym, żeby zostawił ją w spokoju. Od czasu do czasu widział wprawdzie w zielonych oczach przebłyски czułości, a czasami nawet pożądania. Były to jednak ulotne chwile, po których następowały długie okresy jeszcze większej obojętności. Ziggy nie wiedział, jak zachowywać się w stosunku do tej kobiety. Czy tak jak każdy inny mężczyzna, mający na nią ochotę? Nie, zdecydował. Po namyśle uznał, że takim postępowaniem zraziłby ją do siebie. Miał teraz zresztą inne zmartwienia. Mimo kilku przebłysków pamięci, od chwili, w której znalazł się na Voodoo Caye, nie dowiedział się o sobie właściwie niczego. Nadal nawet nie znał własnego nazwiska.

Był pewny tylko jednej rzeczy. Że komuś bardzo zależy na jego śmierci.

Już z daleka Cherish zobaczyła Ziggy'ego. Stał na brzegu morza. Nieruchomym wzrokiem patrzył na nadpływające fale, tak jakby w przestworzach oceanu szukał odpowiedzi na nurtujące go pytania. Był obnażony do pasa. Zauważyła, że pod wpływem słońca jego skóra stała się ciemniejsza, dzięki czemu jej gość wygląda znacznie zdrowiej. Na zwiniętej w kłębek koszuli, rzuconej na suchy piasek, leżał pluszowy królik. Tej dziecinnej zabawki Ziggy pilnował jak oka w głowie. Prawie nigdy z nią się nie rozstawał, mimo że nadal nie wiedział, dlaczego.

Od tygodnia był w kiepskim humorze. Kiedy byli razem, najczęściej milczał lub rzucał od czasu do czasu jakieś obojętne uwagi. Od chwili, w której zaczął swobodnie poruszać się po wyspie, Cherish rzadko go widywała. Sądziła, że znudziło mu się jej ciągle towarzystwo. Może to czysty zbieg okoliczności, ale od przedpołudnia, kiedy to opowiedziała mu o sobie, prawie całe dni zaczął spędzać poza domem. Zaprzyjaźnił się niemal z wszystkimi tubylcami.

Pewnie nie lubił wysłuchiwać zwierzeń. Zupełnie niepotrzebnie przed nim się

wyzalała. A może po jej wyznaniach postanowił stworzyć dystans między nimi? Powinna więc cieszyć się, że jej już więcej nie zaczepia. Przecież celowo mówiła mu o swych kłopotach z mężczyznami.

Od tamtej rozmowy Ziggy stał się w obecności Cherish wzorem dżentelmena, i to ją drażniło. Teraz, kiedy był uprzedzająco grzeczny i obojętny, miała mu za złe takie postępowanie. Chętnie potrząsnęłaby mocno swym gościem i powiedziała, żeby wreszcie zaczął zachowywać się normalnie.

W każdym razie nie powinien jej unikać. Poprzedniego dnia wrócił od Petera Sacqui późnym wieczorem, a rano opuścił chatę o świcie. Czy naprawdę jej towarzystwo było aż takie nudne? zastanawiała się Cherish. Przecież chyba mógłby się zdobyć na wspólne wypicie filiżanki porannej kawy!

Jedno było jednak pewne. Między nią a Ziggyem zrodziło się uczucie sympatii. Z jej strony było chyba nawet coś więcej.

Teraz jednak, kiedy dała gościowi niedwuznacznie do zrozumienia, że żadne intymne kontakty nie wchodzą w rachubę, przestał ją w ogóle zauważać. Miała o to do niego żal.

Ach, ci mężczyźni! pomyślała z niechęcią.

Znalazła się nad brzegiem morza. Podeszła do Ziggy'ego.

– Muszę z tobą porozmawiać – oświadczyła sucho, stając za jego plecami.

Drgnął gwałtownie.

– Do licha, Cherish, czemu tak zniecka zachodzisz mnie od tyłu?

– A czemu gapisz się godzinami w wodę, jakbyś był w jakimś transie? – odparowała.

– Mam... mam zamiar popływać – odparł niepewnym głosem.

– Och, jest mi więc niezmiernie przykro, że muszę ci przeszkodzić.

– Czyżbym wyczuwał drwinę w pani głosie, doktor Love?

– To nie drwina, lecz złość. Jestem na ciebie wściekła.

– O co tym razem?

Zaczepny ton w głosie Ziggy'ego zirytował Cherish.

– Musisz przestać mieszać się do życia Garifuna. Zostaw ich natychmiast w spokoju.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Przestań udawać. Wiesz doskonale. Twoje poczynania na wyspie są nie do przyjęcia! – wybuchnęła Cherish. – Uczysz mieszkańców Voodoo Caye amerykańskiego żargonu. Namawiasz do uprawiania sportu i gry w karty, a więc do działań zupełnie obcych tradycji tych ludzi. A dzisiaj się dowiedziałam, że –

namawiasz Garifuna, żeby wybudowali na wyspie hotel dla turystów! To, co wyczyniasz, jest niesłychane! Jak możesz postępować w tak niegodziwy sposób?

– Upuszczasz sobie krwi, Doc?

– Nie zmieniaj tematu!

– A więc dobrze. Chcesz wiedzieć, dlaczego mam czelność przyjaźnić się z ludźmi, którzy okazali mi tyle serdeczności?

– Przyjaźń to całkiem inna sprawa. Ty ingerujesz w ich sposób życia i obyczaje.

– Wolałabyś, aby na zawsze pozostali tacy, jacy są? Rozumiem ten punkt widzenia. Wówczas szlachetna pani antropolog zdobędzie sławę, badając przez całe lata wyizolowaną, zamrożoną społeczność i pisząc na jej temat liczne prace naukowe. O to przecież ci chodzi. Mam rację?

– To nie ma nic wspólnego z...

– Ma – przerwał jej ostro. – Myślisz wyłącznie o sobie, a nie o tych ludziach.

– Nie praw mi kazania! – I kto to mówi!

– Jesteś egoistą. I intrygantem.

– A ty jesteś ślepa jak kret. Nie widzisz, co dzieje się wokół ciebie. Doc, za dużo czasu spędzasz w swej wieży z kości słoniowej. Sama żyjesz w wyizolowanym świecie. Czasami tak bardzo przypominasz mi C... Cl... – urwał. Coś usiłował sobie przypomnieć.

– Kogo? – spytała szybko Cherish. – Catherine? – Nie. Chodzi o Cl... Clo...

– Chloe? Claire? Clyde? – podpowiadała. Zacisnął mocno powieki.

– Nie. Ta kobieta nosi inne imię. Ale jakie, nie pamiętam. Wiem tylko, że czasami mam ochotę udusić gołymi rękami tę dziewczynę. Okropnie mnie denerwuje, ale bardzo ją kocham.

– Żonę? Siostrę? Przyjaciółkę?

– Siostrę? Tak, chyba siostrę. Nic więcej nie potrafię sobie przypomnieć.

– Już po raz drugi rozmowa na temat badań naukowych przywodzi ci na myśl siostrę – powiedziała zamyślona Cherish. Postanowiła zaprzestać sprzeczek z Ziggym. Widziała, jak bardzo jest przygnębiony. Nie miała serca dłużej go krytykować. – Już sobie pójdę. A ty popływaj. Chyba że chcesz, abym została, w razie gdyby...

– Dziękuję – odparł szorstko. – Wracaj lepiej do babki Martinez i obserwuj przygotowania do *dugu*.

– Czujesz się na siłach wziąć udział w jutrzejszej ceremonii?

– Tak.

Cherish zostawiła Ziggy'ego nad brzegiem morza i ruszyła w stronę wsi. Zanim

doszła do ścieżki prowadzącej przez dżunglę na drugą stronę wyspy, rzuciła wzrokiem za siebie. Zobaczyła, że Ziggy nadal stoi na piasku z oczyma wlepionymi w wodę.

Tego wieczoru znów bardzo późno wrócił do chaty. Cherish leżała już w łóżku. Nie mogła zasnąć. Martwił ją zły stan psychiczny Ziggy'ego. Na Voodoo Caye przebywał ponad tydzień. Wydobrażał fizycznie, lecz amnezja nie ustępowała. Pewnie brakowało odpowiednich bodźców. Żeby więcej sobie przypomnieć, powinien znaleźć się w znanym mu otoczeniu.

Zastanawiała się, skąd pochodził i w jakich żył warunkach. Nie podzielała przeświadczenia Ziggy'ego, że jest człowiekiem bogatym. W ostatnim tygodniu wprawdzie wspomniał, że w domu jeździł czerwonym porsche, był u Maxima w Paryżu i dość często zatrzymywał się u Ritza w Londynie. Jego opowiadania przyjmowała sceptycznie.

Bezczyność nie prowadziła jednak do niczego. Należało zacząć sprawdzać te skąpe informacje. Ale jak? Ziggy nie miał przy sobie złamanego grosza, a niewielkie fundusze Cherish w żadnym razie nie wystarczyłyby na wysłanie go do Paryża lub Londynu po to, by tam spróbował ustalić swą tożsamość. Zresztą nie miał przecież paszportu, więc wszelkie dłuższe podróże były wykluczone.

Cherish westchnęła głęboko. Postanowiła w najbliższym czasie, zaraz po *dugu*, ponownie skontaktować się z ambasadą amerykańską. Może czegoś się dowiedzieli. Jeśli nie, to trzeba będzie nakłonić Ziggy'ego do działania. Był już prawie zdrowy, więc mógł jechać do Belize. Im wcześniej opuści Voodoo Caye, tym lepiej. Dla niej i dla mieszkańców wyspy.

Myśli te jeszcze bardziej pogorszyły kiepski nastrój Cherish. Przyłożyła głowę do poduszki. Postanowiła dzisiejszej nocy nie zaglądać do Ziggy'ego.

Pod wieczór Ziggy wydawał się nawet być zadowolony z tego, że zgodził się brać udział w tej dziwnej ceremonii. Była niezwykle uroczysta. Poprzedzona starannymi przygotowaniem. Babka Martinez zabroniła cokolwiek fotografować, więc Cherish, ani na chwilę nie rozstając się z notesem, bez przerwy zapisywała swoje spostrzeżenia. Rejestrowała nie tylko szczegóły obrzędów, śpiewy i tańce, lecz także wygląd poszczególnych strojów, amuletów, a nawet podawanych potraw.

Ziggy'ego nużyło obserwowanie zajętej Cherish. Był smutny i rozgoryczony, bo tej nocy nie zajrzała do niego ani na chwilę. Zbyt długo przebywał chyba nad morzem, bo bardziej niż zwykle męczyły go potem koszmary senne. Brakowało mu

dotyku ręki Cherish na rozpalonym czole i jej łagodnych, uspokajających słów. Prawdę mówiąc, tęsknił do jej uścisku. Najchętniej zresztą wzięłby w ramiona tę kobietę i kochał się z nią.

– Pij, Ziggy. Do dna. – Peter Sacqui pilnował, żeby gość wychylił do końca czarnekę z napojem alkoholowym, którym raczyli się obficie wszyscy zebrani tubylcy.

– Okropny tu hałas – narzekał Ziggy.

– Dlatego, żeby duchy mogły nas usłyszeć – wyjaśnił Peter.

– Uważasz, że opętały mnie diabelskie moce i trzeba je wypędzać, odprawiając egzorcyzmy?

– Nie wiem. Może tylko należy ubłagać dobre duchy, żeby przywróciły ci pamięć. Opuściła ciało, bo czegoś szuka.

– Szuka? Czego?

– Przeszłości. Wroga. Przyjaciela. – Peter wzruszył ramionami. – A może kobiety dla ciebie.

– Kobiety? Pewnie jakaś już w moim życiu istnieje – ponurym głosem powiedział Ziggy.

– Może – przyznał Peter. – W każdym razie brak pamięci teraz ratuje ci życie.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli?

– Ten, kto ugodził w ciebie nożem, nie wie, że żyjesz i jesteś na Voodoo Caye. Tu jesteś bezpieczny. Jeśli nawet jakiś obcy pojawi się na wyspie, od razu będziemy o tym wiedzieli i cię obronimy. Ale gdybyś odzyskał pamięć i wrócił tam, skąd przybyłeś, nadal być może groziłoby ci wielkie niebezpieczeństwo.

– Może masz rację. O tym nie pomyślałem – przyznał Ziggy. – Wcześniej czy później będę jednak musiał opuścić Voodoo Caye. A jeśli się nie dowiem, kto czyha na moje życie, łatwo wpadnę w jego ręce.

– Więc czemu chcesz stąd wyjechać? – zapytał Peter. – Jest tu przecież wszystko, czego potrzebujesz. Masz przyjaciół. Możesz pracować. Na przykład zbudujesz mały hotel dla turystów, o którym nam mówiłeś. Masz także dobrą kobietę.

– Dobrą? – prychnął Ziggy. – Wczoraj zachowywała – się jak rozzłoszczona tygrysica. Miała ochotę rozerwać mnie na strzępy.

– W taki sposób okazywała ci uczucie. Kobiety wściekają się tylko na tych mężczyzn, na których im zależy. Przecież chyba o tym wiesz.

– W wypadku Doc wcale nie jestem tego pewny. – Ziggy zastanawiał się, czy Cherish rozzłościłaby się tak bardzo na każdego, kto próbowałby ingerować w

życie Garifuna.

– A może wyczerpała się jej cierpliwość? – Peter snuł dalsze przypuszczenia. – Ma dość chodzenia samej do łóżka, kiedy ty do późna w nocy grasz ze mną w karty lub pomagasz babce Martinez przy suszeniu ziół.

Ziggy potrząsnął głową.

– Wątpię – odparł. – Wczoraj by mnie ugryzła, gdybym jej dotknął.

– Czy to byłoby aż takie złe? – roześmiał się Peter.

Dalszą rozmowę przerwała babka Martinez, która przewodziła całej ceremonii. Podeszła do Ziggy’ego i poleciła mu iść z sobą. Wokół zrobiło się ciemno. Widocznie zbliża się punkt kulminacyjny ceremonii, pomyślał. A on jest przecież głównym bohaterem całej uroczystości, więc nie mógł pozostawać dłużej na uboczu.

Stara kobieta podała mu czarę napoju i nakazała wypić go do dna.

Rozpalono ognisko. Zapłonęły liczne pochodnie. Powolne tańce, które trwały od początku uroczystości, stały się coraz szybsze. Podobnie jak głośnie bicie w bębny.

Śpiewając, babka Martinez wzięła Ziggy’ego za rękę i wprowadziła do środka kręgu tańczących tubylców. Po wypiciu napoju czuł się dziwnie. Wszystko wokół zaczynało wirować mu przed oczyma. Stara kobieta wygłosiła do niego przemowę. W miarę słuchania stawał się coraz mniej przytomny. Rozumiał tylko pojedyncze słowa. Dotarło jednak do niego, że zaraz dobre duchy pomogą mu pozbyć się demonów. Babka Martinez zapytała Ziggy’ego, czy jest gotów przystąpić do obrzędów. Półprzytomnie skinął głową.

Usiadł w środku ruchomego kręgu tańczących i śpiewających ludzi, poprzebieranych w rytualne stroje. Ciężyły mu powieki. Miał ochotę zapytać babkę Martinez, co tu się właściwie dzieje, ale nie potrafił wymówić ani słowa.

Chyba dostałem jakiś środek halucynogeny, pomyślał. Dobrze, że nigdy nie brałem narkotyków. To żadna przyjemność. Prawdziwą frajdą jest natomiast wiele innych rzeczy. Galopowanie na dobrym koniu. Szybka jazda sportowym wozem. Romansowanie z piękną kobietą i pójście z nią do łóżka. Podkpiwanie z nadętych urzędników kierujących rodzinnymi interesami i udawanie przed nimi kompletnego idioty, a potem zaskakiwanie ich dużą wiedzą i umiejętnościami. Frajdą było drażnienie się z Catherine. A także pełne przygód podróże po egzotycznych krajach w towarzystwie ekscentrycznego dziadka. Dużą przyjemność stanowiło przebywanie z... Cherish. I wszystko, co się z nią wiązało.

Gdzie teraz się znajdowała? Dlaczego zostawiła go samego i dopuściła, żeby

napojony czymś okropnym siedział w środku kręgu zawodzących i podrygujących w rytm muzyki dziwacznych postaci? Przecież do tej pory ta kobieta zawsze się nim zajmowała. Opatrywała rany. Karmiła. Uspokajała i dodawała otuchy każdej nocy. Nie, nie każdej. Ostatniej w ogóle się nie zjawiała, mimo że tak bardzo jej potrzebował.

Cherish, gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

Usiłował ją przywołać, lecz nie mógł wydać żadnego dźwięku. Głos uwiązł mu w gardle. Cherish, przyjdź do mnie, błagał ją w myśli.

Ktoś obok zawołał głośno:

– Doc!

I nagle znalazła się obok Ziggy’ego. Jego zamglonym oczom ukazała się najpierw chmara rudych włosów. Potem ujrzał oczy. Tak zielone jak nefryty, które kiedyś kupił w Hongkongu. Chwilę później przeniósł wzrok na jej skórę. Gładką niczym jedwab na najlepszej koszuli. Przegrał kiedyś taką w pokera i oddał opasłemu senatorowi z Południa, który nie był w stanie włożyć jej na siebie.

Cherish. Cherish.

– Jestem tutaj, przy tobie. Czy dobrze się czujesz?

Nie mógł odpowiedzieć. Uściśnął tylko mocno jej dłoń. Przestał bać się demonów. Stał się silny. Teraz on pragnął opiekować się tą kobietą. W tym momencie do Ziggy’ego zbliżyła się babka Martinez. Nie potrafił się oprzeć żelaznej woli tej kobiety. Długą, wąską ścieżką poprowadziła go do jakiejś pieczary. Znalazł się w krainie wiecznego mroku.

Ogarnął go potworny lęk.

Czuł, jak pot spływa mu po twarzy.

Było mu zimno. Bardzo zimno. Nawet nie próbował opanować drżenia.

Ziemia zaczęła usuwać mu się spod stóp.

Zacisnął kurczowo palce na ręce, która go podtrzymywała.

– Zaraz mnie zabiją – powiedział głuchym głosem.

– Kto zaraz cię zabije?

– Słyszałem, jak mówili. Postanowili zamordować. Pozbyć się mnie.

– Kto zaraz cię zabije?

– Babciu, proszę, nie męcz już dłużej Ziggy’ego!

Kobięcy głos. Nieco zalekniony. Ale przecież nikogo przy nim nie ma. Jest sam. Całkiem sam. Nikt nie wie, że zaraz go zamordują. I nikt nawet nie będzie wiedział, gdzie szukać ciała.

– Gdzie jesteś? – Był to ten sam głos, który słyszał wcześniej.

– Na łodzi.

– Kto... ?

– Ciszej! Idą po mnie!

Udało mu się uwolnić z pętli jedną rękę. Druga nadal była przywiązana. Dlaczego tak szybko wracają? Czy już teraz chcą go zabić? Nie mogliby odłożyć egzekucji na później?

– Nie bój się. Nikt cię nie usłyszy. Mów, co się stało.

Ktoś głośno krzyknął. To był męski głos.

– Ziggy! Krew. Dużo krwi. Nóż. Ramię. O Boże, jak strasznie boli! – Ręką uwolnioną z więzów osłonił się przed następnym ciosem.

~ Ziggy!

Błysk ostrza w ciemnościach. Poczul ostre cięcie przez twarz. Zebrał wszystkie siły i kopnął napastnika. Mocno. Jakimś cudem zdobył nóż i przeciął więzy na drugim ręku. Usłyszał zbliżające się szybkie kroki. Wiedział, że to jego ostatnia szansa. Rzucił się do ucieczki. Ktoś chwycił go za ramię. Opanowało go przerażenie.

Cherish wytarła złany potem tors Ziggy'ego. Zauważyła, że trzęsą się jej ręce. Poruszył się niespokojnie. Poglaskała go po głowie. Odwróciła twarz, usiłując ukryć łzy.

Zachwyty oglądaną ceremonią ustąpił miejsca przerażeniu, kiedy zobaczyła, jak Ziggy oblewa się potem i trzęsie ze strachu pod wpływem już kiedyś doznanych przeżyć, które przywołał środek halucynogeny, podany mu przez babkę Martinez.

Mieszkańcy wioski lubili Ziggy'ego i życzyli mu jak najlepiej, ale żaden z nich nie pojął, przez jakie piekło ten biedny człowiek ponownie przechodzi. Jedynie Cherish zrozumiała natychmiast, co się dzieje, i nie bacząc na to, że przerywa obrzędy, zażądała od mężczyzn, aby zanieśli Ziggy'ego w spokojne miejsce.

Nie przyszło jej w ogóle do głowy, że będzie znów cierpiał. Nie przypuszczała, że praktyki babki Martinez mogą mieć jakikolwiek skutek, a co dopiero wywołać aż tak ostrą reakcję. Prawdę powiedziawszy, całą ceremonię uważała jedynie za element tradycji kultywowanych przez Garifuna.

Ziggy miał rację, pomyślała zgnębiona. Stała się naukowcem zasklepionym w swym świecie. W wieży z kości słoniowej. Dzisiejsza ceremonia okazała się dla niej przykrym przeżyciem. Zawiodła wszystkich. Babkę Martinez i jej współplemieńców, bo przerwała ceremonię. Ziggy'ego, gdyż pozwoliła poddać go praktykom, które stały się dla niego nowym pasmem udręki. Jeszcze jednym

koszmarem.

– Doc, jak twoja twarz? – zapytała babka Martinez wchodząc do swojej chaty, do której chwilę przedtem mężczyźni z wioski przynieśli nieprzytomnego Ziggy’ego.

Cherish lekko dotknęła obolałego policzka. Zanim zemdłał, Ziggy szarpał się, walczył na ślepo z ludźmi, którzy usiłowali go przytrzymać. Jej także się dostało. Mocno uderzył ją w twarz.

– Nic mi nie będzie – odparła.

– Warto przyłożyć zimny okład – poradziła stara kobieta. Pociągnęła Cherish w stronę lampy i uważnie obejrzała zraniony policzek.

– Babciu, jest mi bardzo przykro, że przerwałam waszą ceremonię. Ale on był tak... tak... Nie przypuszczałam, że będzie aż tak cierpiać. Nie potrafiłam... Nie mogłam...

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Doc – spokojnie powiedziała babka Martinez. – Bałaś się, że coś mu się stanie.

– Nie. Chyba nie. Ale on... On jest...

– Rozumiem.

– Przepraszam babciu, przepraszam – powtórzyła zgnębiona Cherish.

Stara kobieta obdarzyła ją ciepłym uśmiechem.

– Nie martw się, Doc. Wiemy, że chciałaś go chronić. Szkoda, bo był już blisko.

– Jak sądzisz, babciu, czy pamięć mu wróciła?

– Nie wiem. Przekonamy się, kiedy się obudzi.

Wyjdźmy teraz do ludzi. Niepokoją się o stan Ziggy’ego. Musimy powiedzieć, jak się czuje.

– Babciu, nie mogę nikomu spojrzeć teraz w twarz. Jest mi okropnie wstyd. Czuję się winna.

– Im wcześniej pokażesz się ludziom, tym lepiej dla ciebie.

– Dobrze. Ale czy Ziggy... Czy możemy zostawić go samego?

– Oczywiście. Przecież tylko na parę minut.

Ceremonia trwała nadal. Na widok babki Martinez i Cherish mieszkańcy wyspy przerwali tańce i śpiewy, i zaczęli wypytywać o zdrowie Ziggy’ego. Do Cherish nie mieli żalu. Od początku wiedzieli, że udział w ceremonii będzie dla Ziggy’ego traumatycznym przeżyciem. Nie przypuszczali jednak, że Doc tak bardzo przejmie się całą sprawą i zdenerwuje. Teraz o nią się niepokoiłi.

Zostawiła mieszkańców wyspy i sama ruszyła do domu babki Martinez. Za

plecami słyszała dźwięki bębnów i śpiewy.

Otworzyła szeroko drzwi.

W chacie nie było nikogo.

Rozdział 8

Obudziły go śpiewy i złowieszcze bicie w bębny. Z trudem otworzył oczy. Rozejrzał się wokoło. Znajdował się w obcym, mrocznym pomieszczeniu. W jakiejś chacie. Jak się tutaj znalazł? Co to za hałasy? A gdzie jest Cherish?

Podniósł się powoli z posłania. Ból głowy rozsadzał czaszkę. I nagle z całą mocą wróciły potworne przeżycia ostatniej nocy.

Jak oszalały wypadł z chaty i zaczął uciekać. Chciał znaleźć się jak najdalej od śpiewów, bicia w bębny, dymu z płonących ognisk i pochodni, a także ekstatycznych okrzyków tańczących tubylców.

Dotarł do skraju zarośli i na ślepo zaczął przedzierać się przez dżunglę. Liany oplatały ciało, ostre podłoże kaleczyło bose stopy, a gałęzie bezlitośnie smagały po twarzy. Nie zważał na nic. Jakaś potężna siła kazała mu uciekać. Jak najdalej od ludzi.

Z trudem przebił się przez gąszcza. Minął grupę palm kokosowych i nagle znalazł się na skraju dżungli. Prawie nad samym brzegiem morza. Niemal dokładnie w miejscu, w którym Cherish znalazła go po sztormie i które odwiedzał codziennie w nadziei, że tutaj zdoła przywołać wspomnienia.

Przestał biec. Zwolnił kroku. Przystanął. Ciężko dysząc, oparł się o drzewo. Zamknął oczy. Wydawało mu się, że traci zmysły. Osunął się na ziemię.

Ocknął się po jakimś czasie. Rozejrzał wokoło. Jak okiem sięgnąć, w prawo i w lewo roztaczał się szeroki, jasny pas piaszczystej plaży, o którą uderzały rytmicznie spokojne, niskie fale. Na granatowym niebie świecił księżyc, posrebrzając nocne chmury leniwie dryfujące po niebie.

Zapatrzony w ten niecodzienny, wspaniały widok, Ziggy usłyszał nagle znajomy głos.

– Gdzie jesteś? – Wołanie dochodziło z głębi dżungli.

Bliskość Cherish poruszyła go do żywego. Pragnął jak najszybciej mieć ją przy sobie. W tę upojną, księżycową noc postanowił osiąść tę kobietę. Tutaj. Zaraz. Natychmiast.

Podniósł się z ziemi.

Głośno zawołał jej imię.

Nie znalazłszy Ziggy'ego w chacie babki Martinez, Cherish ruszyła w stronę morza. Wąziutką ścieżką biegła szybko przez dżunglę. Była zaniepokojona.

Zbliżając się do plaży, zaczęła głośno przywoływać Ziggy'ego.

Wreszcie usłyszała znajomy głos. Rzuciła się w kierunku, z którego dochodził.

Po chwili znalazła się w mocnych, męskich ramionach. Poczula pocałunek na wargach. Tak silny i zachłanny, że aż ugięły się pod nią nogi.

Upłynęło sporo czasu, zanim Ziggy wypuścił Cherish z objęć. Cofnęli się głębiej w dżunglę.

– Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy – powiedział ochryplym z wrażenia głosem.

– Ziggy – wyszeptała.

Ujęła w dłonie jego rozpaloną twarz i przysunęła do niej usta. Dotknęła spieczonych warg. Pragnęła tego mężczyzny bardziej niż czegokolwiek innego.

Po chwili znaleźli się na ziemi wśród gęstych zarośli.

Ponownie spotkały się ich usta. Ziggy całował ją jeszcze bardziej zachłannie i zaborczo, z coraz większą pasją. Cherish objęła go mocno. Była szczęśliwa. Pragnęła dotykać ciała tego mężczyzny. Niecierpliwym ruchem ściągnęła z niego bawełnianą koszulkę. Potem rozpięła pasek przy szortach, które miał na sobie.

Jednym silnym ruchem szarpnął bluzkę, rozrywając ją na pół. Cherish jęknęła. Wygięła ciało w łuk. Z jej pleców i ramion Ziggy ściągnął bez trudu strzępy miękkiej tkaniny.

Podniósł się na kolana i przyciągnął Cherish do siebie. Zsunął zapinki przytrzymujące jej bujne włosy. I znów zaczął ją całować. Nie mógł nasycić się pocałunkami. Ta kobieta go zauroczyła. Chciał zostać z nią na zawsze. Pragnął posiadać ją. Tu, w dżungli. Natychmiast.

Znów dotknął ustami gorących warg młodej kobiety. Objął ją i odpiął biustonosz.

Z półprzymkniętym uśmiechem na twarzy Cherish zsunęła ramiączka stanika. Była w pełni świadoma, że Ziggy podziwia jej pełne piersi. Nasycił wzrok. Po chwili zaczął pieścić alabastrową skórę. Opuszkami palców kreślił wymyślne wzory. Ścisnął naprężone sutki. Mocno. Tak mocno, że Cherish poczuła ból.

Pochylił się jeszcze bardziej. Całował teraz jej szyję i ramiona. Robił to czule i delikatnie, ale kiedy podniecona wbiła mu palce w kark, pieszczoty stały się intensywniejsze. Szybsze. Szalone.

W pośpiechu zrzucili z siebie szorty. Złączeni w objęciach, odkrywali teraz wszystkie zakątki swych ciał.

Ziggy położył się na plecach. Wciągnął Cherish na siebie. Przytrzymał za pośladki. Naprowadził na cel.

Po chwili stali się jednością.

Rozpoczęli odwieczny taniec miłości.

Wokół rozlegały się odgłosy nocnego życia dżungli. Nie niosły jednak z sobą żadnych gróźb ani niebezpieczeństw.

Przyroda grała serenadę.

Życia i miłości.

Miłości i życia.

A nad głowami jaśniał księżyc i świeciły gwiazdy. Niemi towarzysze podróży ku najintensywniejszej rozkoszy.

Z zapomnianej przeszłości Ziggy był pewien tylko jednego. Że nigdy przedtem tak bardzo nie kochał żadnej kobiety.

Otworzył oczy. Tuż nad sobą zobaczył pogodną twarz Cherish.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytał rozespanym głosem.

Przyciągnął ją czule do siebie.

Uśmiechnęła się i przytuliła do piersi Ziggy'ego.

– Zasnąłeś.

– Kiedy?

– Ze dwie godziny temu.

– Fe, zachowałem się nie po dżentelmeńsku. Przepraszam.

– Miałeś ciężki dzień. Czy podczas *dugu* coś sobie przypomniałeś?

Westchnął ciężko.

– Tak. Ale niewiele.

– Znajdziesz dość siły, aby o tym teraz pogadać?

– Boisz się, że znów rzucę się na oślep w dżunglę?

– Nie. Może jednak rozboleć cię głowa lub wpadniesz w nastrój nerwowego podniecenia.

– Nie wpadnę. – Ziggy pocałował Cherish w czoło. – Czuję się cudownie. Lekko. Jak nigdy.

– Chciałabym... – szepnęła.

– Co?

– Nie wiem. – Nagle wstrząsnęły nią dreszcze.

– Zimno ci?

– Trochę. Wracamy do domu?

– Dobrze.

Podnieśli się z ziemi i zaczęli po omacku szukać w gęstwinie swoich ubrań.

– Ziggy, nie wsuwaj ręki głęboko w zarośla – ostrzegła Cherish, związując poły

rozdartej bluzki. – Tam mogą być węże.

– Och! Powinnaś o tym wcześniej uprzedzić! – jęknął wzdychając ciężko. – Zanim mnie uwiodłaś w samym sercu dżungli.

– Co za niedopatrzenie! Najmocniej przepraszam – syknęła Cherish.

– Wybaczę ci, ale tylko pod jednym warunkiem. – Jakim?

– Że znów t o powtórzymy.

Wzięli się za ręce i ruszyli w kierunku ścieżki. W świetle księżyca Ziggy zobaczył obrzęk na twarzy Cherish.

– Co ci się stało? – zapytał. Dotknęła ręką obolałego policzka.

– Uderzyłeś mnie.

– Co takiego?!

– Zrobiłeś to nieumyślnie. Nic a nic nie pamiętał.

– Kiedy?

– Podczas *dugu*.

– Uderzyłem cię?

– Wpadłeś w jakiś niesamowity trans. Zachowywałeś się jak szalony. Na nikogo nie zwracałeś żadnej uwagi. Podeszłam do ciebie, ale mnie także nie dostrzegłeś.

– Boli?

– Trochę.

– O Boże! – Najdelikatniej jak potrafił dotknął zranionego policzka Cherish. – Jak mogłem zrobić coś podobnego? Tak mi przykro! Przepraszam!

– To raczej ja jestem ci winna przeprosiny. Za to, że uległam namowom babki Martinez i zgodziłam się, abyś wziął udział w *dugu*. Popęłiłam błąd. Niewybaczalny.

– Przecież nie miałaś pojęcia, że może stać się coś takiego.

– Powinnam być przezorniejsza. To moja wina.

– Nie przejmuj się, Doc. Nie ma o czym mówić. Musisz nauczyć się godzić z faktami.

– Tak, Ziggy. Ale nadal chcę...

– Słuchaj, wplątałaś mnie w tę historię, a ja ci za to odpłaciłem ciosem w szczękę. Wprawdzie niecelnym, bo wylądował na policzku. – Ziggy uśmiechnął się rozbijając. – A teraz jak się czujesz?

– Dobrze. – A ty?

– Też dobrze.

– A więc jest jeden do jednego. Remis – podsumował beztrąsko. Cherish

skrzywiła się.

– Nie jestem tego pewna. Ale niech ci będzie.

– No to chodźmy do domu.

Szli w milczeniu. Na wyspie panowała niezmacona cisza. Mieszkańcy wsi, wyczerpani zabawą i nadmiarem wypitego alkoholu, widocznie poszli już spać.

Znaleźli się w chacie. Ziggy schwycił Cherish za rękę, kiedy zamierzała wejść do sypialni.

– Tylko nie tutaj – oświadczył, zatrzymując się w drzwiach. – Nie na tym koszmarnym łóżku. Chyba że dzisiaj chcesz spać sama – dodał ponurym głosem.

– Mamy położyć się w hamaku? – Spojrzała podejrzliwie na rozwieszony sieci.

– Jest lepszy niż twoje Madejowe łoże. – Ziggy uśmiechnął się zapraszająco. – Chodź.

– Pociągnął Cherish do kuchni. Rozebrali się i ostrożnie ułożyli obok siebie, uważając, aby nie spaść na ziemię. Zasnęli objęci, ukołysani ruchem hamaka.

Ziggy otworzył oczy. Raziło go słońce stojące wysoko na niebie. Był sam w chacie. Spojrzał na zegar wiszący na ścianie kuchni. Dochodziło południe. Po środku odurzającym babki Martinez czuł się fatalnie. Miał kaca i bardzo spowolnione reakcje. Z trudem wstał z hamaka. Upłynęło pięć minut, zanim udało mu się dostrzec kartkę, którą Cherish zostawiła na widocznym miejscu.

Przesuwał po niej powoli wzrokiem. Tekst był zwięzły.

„Nie chcę cię budzić. Peter Sacqui zabiera mnie do Rum Point. Babka Martinez zaprasza cię na lunch. Do zobaczenia wieczorem”.

Dwukrotnie czytał kartkę. Z błogim uśmiechem na twarzy. Tak jakby miał do czynienia z listem miłosnym. Z powodzeniem mógł uznać go za czuły. Cherish Love była osobą niezwykle powściągliwą i niezbyt sentymentalną.

Żałował, że nie pojechał do Rum Point. Był pewny, że Cherish wszystko dobrze załatwi, ale męczyła go bezczynność. A ponadto już brakowało mu tej kobiety. Przygnębiony, uprzytomnił sobie, że będzie musiał czekać na nią do samego wieczora.

Podczas nocnych przygód nadwreżył sobie chore ramię. Bolała go także głowa. Może lepiej się stało, że nie wybrał się z Cherish na łódź. Długa podróż w małej łódce z pewnością jeszcze pogorszyłaby jego i tak już złe samopoczucie. Sama myśl o tym, że znalazłby się na morzu, napawała go lękiem.

Mimo przygnębienia, odczuwał jednak fizyczne odprężenie. Nie miało ono nic wspólnego z *dugu*. To miłe odczucie zawdzięczał kobiecie, która w jego ramionach spędziła ostatnią noc. Nie pierwszy już raz pomyślał, że ich ciała idealnie pasują do

siebie. Tej nocy zamiast koszmarów miał rozkoszne sny.

Teraz gnębiło go kilka rzeczy. Kiedy się kochali, nie użył żadnego zabezpieczenia, a mieszkając wiele dni z Cherish pod jednym dachem, nigdzie nie zauważył pigułek antykoncepcyjnych. Z pewnością ich nie używała. Oboje zachowali się nieodpowiedzialnie. Winę ponosił jednak przede wszystkim on sam.

A może ta kobieta zdążyła już zająć w ciążę? pomyślał z niepokojem. Nie pamiętał swoich poprzednich stosunków z kobietami. Chyba wówczas zachowywał się mądrzej i stosował podstawowe środki ostrożności. A jeśli nie...

– Cholera! – zaklął głośno.

Za wszelką cenę musiał sobie przypomnieć, czy miał w życiu jakąś stałą partnerkę. Dziewczynę lub żonę. Po ostatniej nocy Cherish musiała znać prawdę. Powinna wiedzieć, czy jest jego jedyną kobietą, czy też...

– Cholera! – powtórzył ze złością.

Przeklinał swoją amnezję.

Kim był naprawdę? Co mógł zaofiarować tej kobiecie? Czy miał jakiś sensowny zawód? Jakies zarobki? Przyzwoitą pozycję społeczną? Dobrą reputację? A może, podobnie jak właściciel „Lusty Wench”, był zwykłym kryminalistą? Jak się ten facet nazywa? Nosi chyba jakieś irlandzkie nazwisko.

Wreszcie sobie przypomniał.

– O’Grady. Tak, Michael O’Grady – powtórzył. Nic mu to, niestety, nie mówiło.

– Czy byłem pasażerem na „Lusty Wench”, czy więźniem? Dlaczego związano mnie i dźgnięto nożem?

– pytał głośno.

Zamknął oczy. Usiłował odtworzyć w myśli obrazy przywołane podczas *dugu*. Dlaczego chciano go zabić? O co, u diabła, chodzi z tym przeklętym królikiem? Jak przez mgłę pamiętał, że chwycił tę zabawkę uciekając z łodzi. Po co to zrobił? Jakie mogła mieć znaczenie?

Zerwał się z krzesła i z biurka Cherish wyjął królika. Wczoraj schował go tam, zanim wyszedł z chaty. Różowe brzydactwo z wykrzywioną białą mordką nie kojarzyło mu się z niczym. Z niechęcią odłożył zwierzaka.

Czy jest w stanie coś jeszcze sobie przypomnieć?

Odetchnął głęboko i się odprężył. Zamknął oczy. Przepływające swobodnie myśli zaczęły układać się w obrazy. Coraz wyraźniejsze. Przebywał się w towarzystwie starego, brodatego pana. Przypominającego wyglądem Ernesta Hemingwaya. Obaj oglądali puchate zwierzaki.

Działo się to w ogromnym sklepie z zabawkami”, do którego stary pan zabrał Ziggy’ego w dniu jego szóstych urodzin.

– Mój dziadek? – Głos Ziggy’ego zabrzmiał głucho w pustej izbie.

Starzec rozpuszczał wnuka. Pozwalał mu na wszystko. Chłopiec był w siódmym niebie. W sklepie opychał się łakociami, oglądał wszystkie zabawki i grał w gry. Rozrabiał, ile wlezie. Tarmosił wypchane zwierzaki, usiłując pobudzić je do życia.

Dziadek wziął do ręki dużego, brązowego niedźwiedzia i straszyl nim chłopca, wydając przy tym przeraźliwe dźwięki. Dzieciak piszczał z radości. Uciekał przed niedźwiedziem i przed swym opiekunem.

– Dziadek!

Ziggy otworzył oczy. Wspomnienia były jak żywe. Niestety, nie mógł przypomnieć sobie ani nazwiska, ani imienia staruszka. Nawet nie wiedział, czy dziadek jeszcze żyje.

– Ziggy!

Poderwał się gwałtownie z krzesła.

– Ziggy! – ponownie krzyknął Luke, wsuwając głowę przez uchylone drzwi chaty. – Chodź na lunch!

– Już idę. – Ziggy podniósł się i niezbyt przytomnym wzrokiem obrzucił wnętrze chaty. Wychodząc, odruchowo chwycił królika i wetknął pod pachę.

A więc miał gdzieś rodzinę. Czy ktoś martwi się teraz o niego? Czy go poszukuje? Musiał się tego dowiedzieć, choćby ze względu na Cherish. Nie mógł przecież bez przerwy tkwić na Voodoo Caye, czekając, aż wróci mu pamięć! Jak długo musiałby tu pozostawać? Całe lata? Na egzotycznej wyspie nie było przecież nic znajomego, co mogłoby kojarzyć mu się z przeszłością. W tym obcym otoczeniu amnezja mogłaby trwać wieki. W nieskończoność.

Jakie miejsce na ziemi pamiętał najlepiej? Nowy Jork? Paryż? Londyn?

Tak, Londyn. Zamknął oczy i zobaczył... wzór na tapecie w hotelowym pokoju u Ritza. Czy był tam jednak jako gość czy złodziej? To pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

– Ziggy, idziesz wreszcie? – zawołał zniecierpliwiony Luke. Kiedy szli do chaty babki Martinez, spotkani po drodze tubylcy serdecznie pozdrawiali Ziggy’ego. Czuł się dobrze wśród tych ludzi.

Prawdę powiedziawszy, podobało mu się na wyspie. Myśl, żeby przestać się martwić o przeszłość i pozostać na Voodoo Caye z Cherish Love, była kusząca. Czy tylko dlatego, że cieszyło go towarzystwo tej kobiety, zauroczyło piękno

wyspy i radowała serdeczność mieszkańców? Nie. Nie tylko. W jakimś sensie obawiał się odzyskania pamięci i ujawnienia przeszłości. Tego, czego mógłby dowiedzieć się o sobie, gdyby stąd wyjechał.

Możliwości było wiele. Także bardzo przykrych.

A jeśli był przestępcą ściganym przez policję?

A jeśli ludzie, którzy usiłowali zabić go na łodzi, szukali go nadal, po to, żeby dokończyć swego dzieła?

Gdyby mordercy dotarli na Voodoo Caye, życiu Cherish, a może i innych mieszkańców wyspy, także zagrażałoby niebezpieczeństwo!

Uznał, że tak dłużej żyć nie może. Musi natychmiast zacząć działać i jak najszybciej dowiedzieć się, kim naprawdę jest.

Tuż przed zachodem słońca Peter Sacqui przycumował łódź do brzegu. Na przystani do Cherish prawie nie docierały przyjacielskie pozdrowienia innych rybaków. Zamyślona, ruszyła w stronę wsi. Czekало ją trudne spotkanie z Ziggyem.

– Hej, Doc! – zawołała żona Daniela Nicholasa.

– Jak się masz, Alexo?

– Dobrze. Właśnie omawiamy sprawę restauracji, którą trzeba będzie otworzyć, kiedy na Voodoo Caye zjadą turyści – z ożywieniem w głosie powiedziała mieszkanka wyspy.

Cherish stanęła jak wryta.

– To pomysł Ziggy’ego, prawda?

– Tak.

Nie miała ochoty podtrzymywać rozmowy z Alexą. Zapytała krótko:

– Czy wiesz, gdzie on teraz jest?

– Pewnie nad brzegiem morza. Jak zwykle. Chyba powinniśmy tam zbudować nabrzeże. Specjalnie dla płetwonurków. Od strony rafy.

– Hm – mruknęła pod nosem Cherish.

Może wiadomości, które z sobą przywozi, okażą się w gruncie rzeczy nie takie złe. Uchronią mieszkańców wyspy przed zgubnym wpływem Ziggy’ego. To on sprawił, że Garifuna ubzdurali sobie, iż zamienią Voodoo Caye w elegancki kurort. Drugie Miami Beach!

A ona sama spała z mężczyzną, o którym nie wie nic. I to bez żadnego zabezpieczenia. Ostatniej nocy chyba była niespełna rozumu. Jak mogła zapomnieć o możliwych konsekwencjach swego czynu? Aż się wzdrygnęła. Wszystkiemu był winien Ziggy.

Dzisiejszego ranka obudziła się w ramionach tego mężczyzny z przekonaniem,

że to początek nowego, szczęśliwego życia. Teraz jednak, po rozmowie telefonicznej odbytej z Rum Point, wolałaby nie oglądać Ziggy'ego na oczy. I nigdy go nie spotkać.

Powinna przewidzieć to, co się stało. Z fragmentów jego wspomnień było przecież łatwo domyślić się prawdy. Zachowała się jak idiotka. Wdała się w bezsensowny romans z człowiekiem, o którym nie wiedziała absolutnie nic. I teraz za to zapłaci.

Znalazła Ziggy'ego nad brzegiem morza. W tym miejscu, co zawsze. Siedział na piasku i tępym wzrokiem wpatrywał się w wodę.

– Ziggy. Odwrócił się szybko.

– Wróciłaś! – wykrzyknął zadowolony.

Wstał. Podeszedł do Cherish. Objął dziewczynę i nachylił się, żeby ją pocałować.

Wysunęła się z jego ramion i cofnęła o krok.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony. – Dowiedziałaś się czegoś?

– Tak. Przyjechała Catherine. Twoja żona. Czeka na ciebie. W ambasadzie amerykańskiej w Belize.

Rozdział 9

Następnego dnia wczesnym rankiem popłynęli z Peterem Sacqui do Rum Point. Mimo że morze było spokojne, Ziggy czuł się okropnie. Był zmęczony. Nie zmrużył oka poprzedniej nocy. A teraz, gdy znalazł się na łodzi, ogarnął go strach. Tak wielki, jaki przeżywał w koszmarach sennych. Całą siłą woli oparł się pragnieniu, by paść na pokład i skulić się przy burcie jak przerażone dziecko. Podróż morską tak wyczerpała go psychicznie, że gdy łódź przybiła do lądu, był jednym strzępkiem nerwów.

W Rum Point ruszyli od razu na przystanek autobusowy. Cherish, która od poprzedniego wieczoru przypominała chmurę gradową i prawie nie odzywała się do Ziggy'ego, przystąpiła niezwłocznie do starannych oględzin autobusu, który miał ich zawieźć do Belize.

Uporczywe, nieprzyjazne milczenie tej kobiety, a także jej dziwaczne zachowanie się, działały Ziggy'emu na nerwy.

– Do diabła, daj wreszcie spokój tej inspekcji i wsiadajmy do środka – warknął ze złością.

– Najpierw muszę się przekonać, czy można jechać tym gratem. – Cherish schyliła się i uważnie oglądała koło. – Możesz mi wierzyć, jeśli chodzi o podróże po Ameryce Środkowej, mam spore doświadczenie – dodała z godnością. – Jeśli wyłazi osnowa, opona nie wytrzyma jazdy do Belize. A to przecież kawał drogi.

– Sama widzisz, że nie wyłazi. Wsiadajmy wreszcie do środka.

– Muszę obejrzeć pozostałe koła. Jeśli opony są łysy, może być z nami kiepsko. Czeką nas trudna podróż przez góry.

– Przez jakie góry? – zdziwił się Ziggy. – Po kiego diabła ten autobus ma jechać w głąb lądu? Rum Point jest nad morzem, podobnie jak Belize.

– Ale między nimi nie ma żadnego bezpośredniego połączenia. Najpierw musimy dojechać do szosy Hummingbird, a więc przejechać przez góry, a dopiero potem dotrzeć do innej drogi, którą dojedziemy z powrotem nad morze.

– Och, Boże! – ze zgrozą wykrzyknął Ziggy. – Czekają nas pieska podróże!

– Proszę pana! – zawołała Cherish do kierowcy, który podchodził właśnie do autobusu. – Czy mógłby pan sprawdzić hamulce?

Mężczyzna popatrzył na nią z niechęcią.

– Widzi pani przecież, że autobus stoi. Jeśli się zatrzymał, to znaczy, że hamulce działają. Jasne? – Odwrócił się plecami i wsiadł do autobusu.

– Ale...

– Cherish, uspokój się wreszcie! – Ziggy był wyraźnie zirytowany. – W tym nudnym życiu, które ostatnio prowadzimy, trochę przygód i emocji nie powinno nam zaszkodzić – dodał cierpko.

– Miałam już swoją porcję przygód i emocji.

Zapewniam cię, że wystarczającą – przez zęby syknęła Cherish.

Skończyła wreszcie oględziny autobusu. Wsiedli do środka. Musieli się przepychać na sam koniec. Z trudem sforsowali wąskie przejście, mijając stłoczonych pasażerów, a także jednego prosiaka i kilka kur.

Gdy nabity ludźmi autobus opuścił Rum Point i zaczął toczyć się w głąb lądu po wyboistej drodze, Ziggy zwrócił się do Cherish:

– Jak myślisz, kiedy dojedziemy na miejsce? Wzruszyła ramionami.

– Za jakieś dwanaście godzin. Tuż przed nocą.

– Mam nadzieję, że na mnie poczeka – powiedział.

Miał na myśli całkowicie nie znaną mu kobietę, żonę, z którą miał się spotkać w Belize. – Cherish, powinniśmy chyba porozmawiać – dodał po chwili.

– Porozmawiać? – Tak.

– A niby o czym? – warknęła.

– Tylko mnie nie prowokuj. – Zacisnął zęby ze złości. – Nie mam ochoty na takie babskie gierki.

– Jakie babskie gierki?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.

– Nie wiem.

– Nie wierzę ci, ale spróbuję wyjaśnić. Od wczoraj zachowujesz się dziwnie. Jesteś naburmuszona i wściekła. Pytałem, o co ci chodzi. Lodowatym tonem odpowiedziałaś, że o nic. Ponowiłem pytanie. Odrzekłaś to samo, co poprzednio, a potem rzuciłaś mi spojrzenie bazyliuszka. Wtedy zapytałem, czy stało się coś złego, i w odpowiedzi usłyszałem: „Nic ważnego. Zresztą i tak tego nie zrozumiesz”.

– Wszystko przekręcasz! – zaprotestowała Cherish. – Nigdy nie zachowuję się w taki sposób.

– Wobec tego porozmawiajmy teraz o naszej sytuacji. Wymaga omówienia.

– O jakiej sytuacji? – zapytała. Lodowatym tonem. Ziggy miał ochotę udusić tę nieznośną, niekomunikatywną kobietę.

– Przespaliśmy się z sobą – powiedział głośno i wyraźnie. – Nie zachowując żadnych środków ostrożności.

– Mów ciszej! – syknęła rozzłoszczona.

Jeszcze bardziej podniósł głos.

– A teraz wiesz mnie do jakiejś tam żony, o której istnieniu nie mam pojęcia.

– W porządku. Wysłuchałam tego, co miałeś mi do powiedzenia. Sytuacja została omówiona. Jesteś zadowolony?

– Nie, do diabła, nie jestem! A ty? Jesteś szczęśliwa? Kiedy wychodziłaś z mego hamaka, czy przypuszczałaś, że pojawi się moja żona? Że coś takiego może się zdarzyć?

– Mów, proszę, jeszcze głośniej. To mało prawdopodobne, ale koło kierowcy ktoś mógł nie słyszeć naszej interesującej rozmowy. – Słowa Cherish były przesączone jadem.

– Co mamy zrobić z tym fantem? Może zaszłaś w ciążę? A może obdarowałem cię... czymś więcej niż tylko dzieckiem?

– Urocze przypuszczenie!

– Do diabła, zrozum mnie wreszcie. Nie miałem pojęcia, że przywieziesz mi wiadomość, iż jestem żonaty z jakąś kobietą.

– A z kim mógłbyś być żonaty, jeśli nie z kobietą? Powiadasz: z jakąś? Odpowiedź jest oczywista. Z tą samą, której imię jest wygrawerowane na twoim zegarku. Z tą samą, której imię powtarzasz ciągle w snach. Z tą samą, która cię szuka. – Cherish aż zachłysnęła się swymi słowami. Wzięła głęboko oddech i z rozpaczą w głosie dodała: – Przecież ja też o tym wszystkim wiedziałam!

– Nie miej do siebie pretensji. Nie mogłaś przecież...

– Nie mam do siebie pretensji. Jestem wściekła tylko i wyłącznie na ciebie! Czy... czy nie mogłeś okazać się nudnym, gburowatym i pod każdym innym względem okropnym facetem? – Głos młodej kobiety nagle się załamał.

– Ziggy wziął Cherish za rękę, ale dziewczyna natychmiast ją mu wyrwała.

– Co teraz zrobimy? – zapytał poważnym tonem.

– Oddam cię w ręce żony. To chyba z nią bywałeś u Maxima i Ritza. Z pewnością pomoże ci do końca odzyskać pamięć.

– A co będzie z tobą? Zamierzasz wracać na Voodoo Caye?

– Oczywiście. Gdy tylko odstawię cię w Belize do ambasady amerykańskiej, a potem zobaczę się z Grimlym.

– Nie pozwolę ci wracać na wyspę!

– Ciekawe, co na to powiedziałaaby twoja żona.

– Do diabła, zrozum wreszcie, że nie jestem żonaty! – wybuchnął. – Fakt ten musiałbym przecież pamiętać.

Cherish westchnęła głęboko.

– Pan Waterson z ambasady powiedział mi, że kobieta o imieniu Catherine poszukuje uparcie trzydziestodwuletniego szatyna.

– Wiedziałbym, że mam żonę – upierał się Ziggy. – Kiedy kochaliśmy się w dżungli, byłem przekonany, że... – urwał zniechęcony.

Nie miało sensu mówić Cherish, jakie żywi do niej uczucia, zwłaszcza że teraz była dla niego nieczuła jak gład.

Rozgoryczony, odwrócił twarz w stronę okna. Podróż była okropna. Upał i zaduch, panujący w autobusie podskakującym na wyboistej drodze, doprowadzał Ziggy’ego do szaleństwa. W pewnej chwili przyszedł mu nawet do głowy pomysł, by zmusić kierowcę do zatrzymania pojazdu. Miał ochotę wysiąść i resztę podróży do Belize odbyć piechotą.

W połowie drogi mieli planowy postój. W wiejskiej, przydrożnej gospodzie wypili kawę. Jakiś umorusany dzieciak podszedł do Ziggy’ego i spod pachy wyrwał mu zniecka różowego królika. Chłopak rozplakał się głośno, kiedy Ziggy odebrał mu zabawkę. Zwrócił się do Cherish:

– Nie mam przy sobie ani grosza. Wygraną w pokera zostawiłem babce Martinez. Daj, proszę, pięć dolców temu bachorowi.

– Czyś ty upadł na głowę? – warknęła w odpowiedzi.

– Chcesz nauczyć go żebrać?

– Widzisz tego groźnie wyglądającego farmera z dubeltówką w ręku? – szepnął jej do ucha. – To ojciec dzieciaka. Daj mu szybko piątaka, bo w przeciwnym razie będziesz zmuszona wyjaśnić mojej żonie, dlaczego nie dowiozłaś mnie żywego.

Machnęła ręką. Dała chłopcu pieniądze. Wsiedli do autobusu.

– Z tobą są same kłopoty. Gdzie tylko się pokażesz, zaraz narozrabiasz. Jak śmiałeś namawiać Alexe Nicholas do otworzenia restauracji?

– Widzę, że wracamy do zasadniczego tematu. Pani prokurator oskarża mnie o demoralizowanie mieszkańców wyspy i zatrucie ich umysłów.

– Nie sil się na złośliwości.

– A ty wreszcie przestań zachowywać się jak nadęta snobka. – Ziggy zobaczył urażony wzrok Cherish.

– W porządku. Przepraszam. Ale twój stosunek do tych ludzi jest naprawdę idiotyczny.

– Wiem o nich wszystko! Od ponad sześciu miesięcy badam...

– Przypomnij sobie uprzejmie, że żyją w dwudziestym wieku.

– Świetnie o tym pamiętam! Dlatego właśnie są zagrożone ich wspaniałe tradycje...

– Nie chodzi o tradycje i ich zagrożenie. Ci ludzie po prostu się zmieniają. I taka jest normalna kolej rzeczy.

Z tego samego powodu nasi praprzodkowie opuścili pieczary i zaczęli budować sobie domy.

– Wpływ cywilizacji nigdy nie był korzystny. Wręcz przeciwnie. Przypomnij sobie choćby przeludnienie i szerzący się głód w Afryce lub warunki, w których żyją potomkowie dawnych plemion indiańskich w Ameryce Środkowej.

– Zwróć uwagę na to, że na Voodoo Caye ubywa z roku na rok coraz więcej mieszkańców. Jedni przenoszą się na stały ląd w poszukiwaniu pracy, inni chcą zdobywać wykształcenie. Przecież wiesz, że dzieci Alexy i Daniela opuściły wyspę. Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z tubylcami o ich problemach?

– Oczywiście. Ja...

– Powinnaś więc wiedzieć, że młodzież opuszcza gremialnie Voodoo Caye. Za parę lat na wyspie przestanie istnieć młoda generacja. I kto wtedy będzie kultywował i przekazywał tradycję, na czym tak bardzo ci zależy, następnym pokoleniom?

Ziggy ma rację, pomyślała Cherish.

– Sądzisz, że pomysł z turystami zachęci młodych do pozostania w domu? – zapytała.

– Tak. Teraz na Voodoo Caye nie widzą dla siebie żadnej przyszłości. Jeśli nie chcą zostać rybakami, muszą wyjechać.

– Coś w tym jest – głośno przyznała Cherish.

– Zdaję sobie sprawę z tego – ciągnął Ziggy – że sprowadzenie turystów na wyspę nie będzie idealnym rozwiązaniem. Poddanie małej, zamkniętej społeczności wpływom zewnętrznym pociąga za sobą zagrożenia. Słyszałem, że niegdyś odseparowane, zamknięte społeczności żyjące na wybrzeżu Ameryki Środkowej mają poważne kłopoty. Zaczęły się tam szerzyć złodziejstwo, przemoc, narkomania i żebractwo. Ani ty, ani ja nie chcielibyśmy, żeby coś takiego przydarzyło – się na Voodoo Caye. Ale izolacja i ciemnota przestały być dobrym rozwiązaniem. Postęp cywilizacyjny jest niezbędny. Jeśli zmiany będą starannie przemyślane i tak zaplanowane, aby przyniosły korzyści miejscowej ludności, wszystkim będzie żyło się lepiej niż dotychczas.

– Kiedyś powiedziałaś mi, że od chwili, w której znalazłam się na wyspie, dbam przede wszystkim o swoją karierę naukową, a nie o mieszkańców. Czy miałaś wtedy na myśli to, o czym teraz mówisz?

– zapytała Cherish. Spojrzała na Ziggy'ego. W jego oczach bez trudu wyczytała

potwierdzenie. – Zamknęłam się w swym światku... – przyznała. Westchnęła.

Zrozumiała wady swego postępowania i zrobiło się jej przykro.

Ziggy wziął Cherish za rękę. Tym razem nie cofnęła dłoni.

– Wiem, na czym ci najbardziej zależało, kiedy tu przyjechałaś. Chciałaś się sprawdzić jako naukowiec i tylko to się liczyło. Ogarnęła cię obsesja. Taki stan jest mi znany. Catherine zawsze taka była.

Na dźwięk tego imienia Cherish nagle drgnęła. Podniosła głowę i napotkała wzrok Ziggy'ego. Ze smutnym uśmiechem na twarzy wysunęła rękę z jego dłoni.

– Zaczynasz już sobie coraz więcej przypominać – powiedziała. W jej głosie przebijała zaduma.

– Catherine – powtórzył Ziggy. – Ta dziewczyna jest chodzącą doskonałością.

– Co mówiłeś? – spytała Cherish.

– Kiedy zaczynam myśleć o Catherine, zaraz ogarnia mnie dziwne uczucie. Jestem do niej bardzo przywiązany, ale niespecjalnie ją lubię. Jest zawsze... tak cholernie doskonała, że czasami mam jej dość. Wie wszystko. Na każdy temat. Zawsze działa bezbłędnie – i sprawnie. Jest nieprzeciętnie inteligentna i rozsądna. Można na niej w pełni polegać i nigdy człowieka nie zawiedzie. – Ziggy podniósł wzrok i spojrzał na Cherish. – Coraz więcej zaczynam sobie przypominać – dodał z radosnym uśmiechem.

– To bardzo dobrze – powiedziała Cherish. Zrobiło się jej przykro. – Skończmy już wreszcie tę rozmowę na temat Catherine.

– Kiedy ja...

Cherish nie wytrzymała.

– Zamilknij, proszę.

Odwróciła głowę. O sekundę za późno, gdyż Ziggy zdążył zauważyć łzy, które zabłyśły w jej oczach.

Milczenie panujące między nimi do końca podróży było nieznośne. Dojechali wreszcie na miejsce. W ruchliwym, barwnym tłumie Cherish z trudem złapała taksówkę. Poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ich do ambasady amerykańskiej. Kiedy płaciła za kurs, Ziggy, z nieodłącznym królikiem pod pachą, przyglądał się imponującej budowli, przed którą się zatrzymali. Cherish podała wartownikowi swoje nazwisko. Po chwili znaleźli się za ciężką, kutą bramą.

Ziggy'ego ogarnął nagle niezrozumiały lęk. Przystanął.

– Doc, ja...

– Chodź szybciej. Przecież Catherine od rana czeka na ciebie – ponagliła go

Cherish. Ziggy potrzebował nadal pomocy i postanowiła mu jej udzielić. Do końca. Zachowa się rozsądnie i nie rozplącze się. Na łyzy będzie miała wiele czasu, gdy znajdzie się znów na Voodoo Caye, w czterech pustych ścianach swej chaty. Na myśl o tej smutnej perspektywie zakłuło ją serce. Z trudem się przemogła. – Nie denerwuj się – dodała opanowanym głosem. – Jestem z tobą.

– Ziggy wziął Cherish za rękę.

– Nie zostawiaj mnie samego. Ja...

– Uspokój się. Przekonasz się, wszystko będzie dobrze. Kiedy tylko zobaczysz żonę, wróci ci pamięć. – Zapomnisz o mnie i o naszej szalonej nocy w dżungli, z rozpaczą dodała w myśli.

Przeszli przez dziedziniec i znaleźli się w gmachu ambasady. Tu następny wartownik polecił im poczekać. Wykonał telefon, po czym skierował przybyłych do sali recepcyjnej.

Po paru minutach zjawił się wysoki, nieco łysiejący mężczyzna. Z szerokim uśmiechem na twarzy uścisnął rękę Cherish.

– Witam panią, doktor Love. Jestem Waterson. Już zaczynaliśmy martwić się o was oboje, ale wiemy, że komunikacja autobusowa jest tutaj bardzo zawodna.

Cherish przedstawiła swego towarzysza.

– To jest Ziggy. Pragnie jak najszybciej spotkać się z...

Urwała, gdyż w tym momencie zjawiła się w sali niska, rudowłosa kobieta. Była ubrana w jedwabną, krzykliwą suknię, która musiała kosztować majątek i znacznie bardziej nadawała się na bal niż na wizytę w ambasadzie. Jeśli tak wygląda chodząca doskonałość według Ziggy’ego, pomyślała zaskoczona Cherish, to widocznie miłość go zaślepiała.

Kobieta podeszła do Ziggy’ego. Objęła go i zaczęła witać z przesadną egzaltacją.

Ziggy miał bardzo niewyraźną minę. Wyglądał tak, jakby chciał skryć się w mysią dziurę. Błagalnym wzrokiem spojrzął na Cherish, tak jakby u niej szukał ucieczki przed tą agresywną kobietą.

– Kochany! Kochany! – powtarzała. – Czemu nic nie mówisz? No, odezwij się wreszcie.

– Hm... Ja... – Ziggy znów rzucił Cherish niespokojne spojrzenie. – Dzień dobry pani – wybąkał wreszcie.

– Ziggy, kochany! Chyba mnie poznajesz! Jestem twoją żoną, Catherine.

– Moją żoną? – powtórzył słabym głosem.

– Oczywiście!

– Czy jest pani tego pewna?

– Jak możesz mówić coś takiego! Naprawdę nic nie pamiętasz?

– Przykro mi, proszę pani.

Cherish zobaczyła, że zbladł. Na jego twarzy malował się przestach.

Catherine zwróciła się do Cherish:

– Dziękuję pani za opiekę nad mężem. I za uratowanie mu życia – powiedziała egzaltowanym tonem.

Miała na palcu pierścionek z ogromnym, rzucającym się w oczy brylantem. To wręcz nieprawdopodobne, żeby Ziggy kupił żonie coś tak wulgarnego, pomyślała Cherish.

– Chciałabym zostać teraz sama z mężem – oświadczyła Catherine.

– To całkiem zrozumiałe – rzucił szybko Waterson.

– Przedtem jednak poproszę państwa o wyjaśnienie mi kilku spraw – stanowczym tonem powiedziała Cherish.

– Paru spraw? – powtórzył Waterson.

Zobaczyła jego nieżyczliwe spojrzenie. Widocznie zależało mu na szybkim pozbyciu się petentów. O tej później porze ambasada zazwyczaj pustoszała. Niecierpliwiał się, bo pragnął jak najprędzej znaleźć się w domu.

– Chcę poznać nazwisko Ziggy’ego, dowiedzieć się, co robił na „Lusty Wench” i jak to się stało, że pchnięto go nożem, związano i...

– Świetnie panią rozumiem, panno Love – przerwał jej Waterson. – Ale czy na wyjaśnienie tych spraw nie mogłaby pani uprzejmie poczekać do jutra? Wszyscy – mieliśmy dziś ciężki dzień. Prawdę mówiąc, dla wygody państwa postąpiłem niezgodnie z przepisami. Nie wolno nam przyjmować interesantów po godzinach urzędowania. Nie chcę być niegrzeczny, ale bardzo się spieszę. Od godziny żona czeka na mnie z kolacją...

– Rozumiem pana, ale... – Cherish nie dawała za wygraną.

– W porządku – nieoczekiwanie do rozmowy włączył się Ziggy. – Doc, jutro się zobaczymy i wszystko obgadamy. Zostaw nas, proszę.

Cherish spojrzała na niego zdumiona. Co się stało? Dlaczego tak nagle zmienił front?

Nie ruszyła się z miejsca. Zapanowała kłopotliwa cisza. Przerwała ją Catherine.

– Doktor Love, czy ma pani gdzie zatrzymać się na noc?

– Tak. Jadę do Instytutu Badań Antropologicznych. Tam mam własne lokum. – Cherish zwróciła się do Watersona: – O której jutro się spotkamy?

– O dziesiątej – zaproponował.

– Dobrze. Przyjadę.

Cherish podeszła do Ziggy’ego. Spojrzała mu w oczy. Miał nieprzenikniony wzrok.

– Czy dobrze się czujesz? – spytała.

– Tak. Doc, dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

– Nie ma za co – odparła szybko.

Głos uwiązał jej w gardle. Przełknęła łzy. Ruszyła w stronę wyjścia. Za plecami usłyszała ciche wołanie Ziggy’ego:

– Cherish! Odwróciła się powoli.

– O co ci chodzi? – zapytała.

Zrobił krok w przód. Wyciągnął przed siebie rękę z różowym królikiem, którego przez cały czas ścisnął pod pachą.

– Nie wiem, jak ci się zrewanżować – powiedział bezbarwnym głosem. – To jedyna rzecz, jaką posiadam. Weź tego królika. Proszę.

– To zupełnie bez sensu – zaprotestowała Catherine. – Po tym wszystkim, co doktor Love zrobiła dla ciebie, należy się jej przyzwoity prezent. Możesz przecież...

– Nie chcę niczego więcej – przerwała jej Cherish.

– Wzięła do ręki pluszowego zwierzaka. – Dziękuję ci, Ziggy. To miły podarunek.

Odwróciła się i szybko wyszła z sali.

Rozdział 10

Późnym wieczorem Cherish dotarła do Instytutu Badań Antropologicznych. Profesora Grimly'ego Corridora zastała w gabinecie. Poinformowała go, że w Belize zostanie dzień lub dwa. Opowiedziała pokrótce o ostatnich wydarzeniach, nie zważając na gburowate i kąśliwe uwagi na temat jej zaniedbań w pracy. Potem poszła do swego pokoju.

Godzinę później służący Grimly'ego, potężnie zbudowany Juan, przyniósł Cherish kolację. Tylko on potrafił radzić sobie z szefem instytutu. Pewnie dlatego, że, podobnie jak profesor Corridor, nigdy nie liczył się z nikim i niczym.

Instytut Badań Antropologicznych zajmował obszerny dom zbudowany w stylu kolonialnym, znajdujący się na przedmieściach Belize. Na skutek grubiańskiego postępowania profesor zraził do siebie także okolicznych ogrodników, dlatego duży zielony teren, który otaczał budynek instytutu, był tak zaniedbany i zarosnięty, że niczym nie różnił się od pobliskiej dżungli.

Zmęczona Cherish wzięła gorącą kąpiel. W krótkiej, bawełnianej koszuli nocnej, którą z sobą przywiozła, wyszła na balkon. Zewsząd docierały pokrzykiwania małp i inne odgłosy nocnego życia dżungli.

Była pełnia księżyca. Podobnie jak pamiętnej, szalonej nocy, którą spędziła z Ziggyem na Voodoo Caye. Teraz wszystko się zmieniło. Następnej szalonej nocy nigdy już nie będzie. Myśli Cherish zaczęły krążyć wokół ostatnich wydarzeń.

Rudowłosa Catherine. Będąc na wyspie, Ziggy przypomniał sobie kobietę o czerwonych włosach. Kojarzyła mu się jednak nie z żoną, lecz z pierwszą w życiu, znacznie starszą od niego kochanką. Catherine wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat, więc nią być nie mogła. Dlaczego pamiętał dawną kochankę, a obraz żony nie utrwalił mu się w pamięci?

Żona. To słowo raniło do głębi. Teraz, gdy wyjaśniła się tożsamość Ziggy'ego, Cherish wiedziała, że to koniec ich znajomości. Pod maską lekkoducha i kpiarza skrywał poważniejsze oblicze. Był z pewnością mężczyzną odpowiedzialnym za swoje czyny. Mieszkańcom wyspy będzie go brakowało. Kto teraz pomoże im zorganizować nowe życie i sprawić, aby młodzież nigdy więcej nie opuszczała Voodoo Caye?

– Och, Ziggy! – jęknęła Cherish.

Bardzo do niego tęskniła. Był jedynym mężczyzną, który sprawił, że pozbyła się zahamowań. Odżyła w jego ramionach. A teraz? Teraz znów zostanie sama. Z

bolesnymi wspomnieniami. O człowieku, którego pokochała.

Po twarzy Cherish popłynęły łzy.

Nagle usłyszała jakiś dziwny hałas. Szelest gałęzi. Ktoś wspinał się na balkon, na którym się znajdowała! Zamarła z przerażenia. Krzyk uwiązł jej w gardle, gdy tuż obok siebie zobaczyła wynurzającą się z mroku męską postać.

– Ziggy!

Oddychając ciężko, z trudem przesadził poręcz balkonu. Cherish zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Ziggy!

Poczuł na twarzy jej przyspieszony oddech. Dotknął palcami mokrego policzka.

– Płakałaś – szepnął. Cherish ochłoneła ze strachu.

– Co tu robisz? – spytała po chwili.

– Pocałuj mnie. – Przycisnął wargi do jej rozchylonych ust.

Trzymał ją mocno w ramionach. Całował zapamiętane.

Z trudem wykrztusiła:

– A gdzie Catherine?

– Pytasz o tę okropną kobietę? Nie mówmy o niej więcej.

– Ależ, Ziggy...

– Pocałuj mnie – zażądał.

Wziął Cherish na ręce, wniósł do pokoju i położył na łóżku.

– Nie możemy... – wyszeptała.

– Możemy... Możemy...

Wsunął dłonie pod cienką nocną koszulę. Podciągnął ją do góry. Młoda kobieta poczuła dotyk rąk Ziggy'ego na obnażonym ciele. Głaskał jej płaski brzuch i delikatną skórę na wewnętrznej stronie ud.

– Pieść mnie.

Bezwiednie robiła to, o co ją prosił. Dotykała palcami twarzy Ziggy'ego, głaskała miękkie włosy. Przycisnął ją całym ciałem.

– Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę – powiedział zdławionym głosem, przytulając rozgrzankowaną twarz do nagiego brzucha Cherish.

– Obiecałam ci przecież, że jutro spotkamy się w ambasadzie.

– Nie takie spotkanie miałem na myśli. Chcę cię mieć tylko dla siebie. – W głosie Ziggy'ego przebijało pożądanie. Dyszał ciężko.

Cherish nie potrafiła już dłużej panować nad sobą. Pragnęła tego mężczyzny.

– Rozbierz się – powiedziała cicho.

Bez słowa szybko zrzucił szorty, które mu podarowała, i cienką koszulę.

Pochylił się nad Cherish i znów zaczął ją całować.

Uniosła się, aby mógł rozebrać ją do końca. Znów przycisnął twarz do rozgrzanego brzucha dziewczyny.

Bezwiednie rozchyliła uda. Zaczęła jęczeć.

– Weź mnie. Weź mnie. Proszę.

Wszedł w nią głęboko. Aż do końca. Zwarli się w niemym uścisku. Zjednoczyli ciała.

– Pieść mnie mocno – szepnęła. – Bardzo mocno.

Muszę cię zapamiętać. Na całe życie.

Uniósł się na rękach.

– Powiedz, że mnie kochasz.

– Kocham.

Gorącymi wargami zamknął usta Cherish. – Powtórz – zażądał, opadając na nią całym ciałem.

– Kocham cię, Ziggy.

Świat przestał istnieć. Zatopili się w rozkoszy. Ogarnęło ich najwyższe uniesienie.

Potem leżeli nieruchomo, a lekki wietrzyk tropikalnej nocy chłodził ich rozpalone ciała.

Tysiące pytań przebiegały przez głowę Cherish. Nie chciała jednak przerywać rozmową czarą tej cudownej chwili, która już nigdy się nie powtórzy.

– Chcesz porozmawiać o Catherine? – zapytał Ziggy.

Cherish westchnęła głęboko. Nie miała na to ochoty. Temat był zbyt przykry.

– Nie chcę. Ale jeśli ci na tym zależy, to mów – zrezygnowana, odparła niechętnie.

– Ta kobieta nie jest moją żoną. Mam pewność co do tego. Catherine wygląda zupełnie inaczej. Jest blondynką, ma niebieskie oczy.

Cherish uniosła się na łokciu. Popatrzyła uważnie na Ziggy'ego.

– Wraca ci pamięć? – spytała.

– Tak. – Usiadł na łóżku.

– Co zrobiłeś z Catherine? Gdzie ona teraz jest?

– Wprost z ambasady zawiozła mnie do jakiegoś hotelu. Nie chciałem zostać z nią sam na sam, więc zaproponowałem, żebyśmy przed pójściem do pokoju wypili kawę. I wtedy pod pretekstem, że idę do toalety, wymknąłem się z hotelu. Złapałem taksówkę. Poleciałem kierowcy, żeby przywiózł mnie tutaj, do twojego instytutu.

– Przecież nie miałeś czym zapłacić za kurs! Byłeś bez grosza!

– Miałem pieniądze. Zwędziłem portfel Catherine.

– Co?!

– Jakoś musiałem się dostać do ciebie. A ponadto chciałem się dowiedzieć, kim jest ta kobieta. Niestety, instytut był zamknięty. Nikt nie odpowiadał na moje pukanie.

– Grimly polecił Juanowi zaryglować starannie drzwi. I nakazał nikogo nie wpuszczać do środka.

– Juanowi? A kto to jest?

– Służący Grimly’ego.

– Całe szczęście, że cię zobaczyłem. – Ziggy pocałował Cherish w policzek. – Zawsze marzyłem o takiej przygodzie. Żeby wdrapać się potajemnie na balkon pięknej damy.

– Kim jest ta kobieta? – Cherish nie mogła przestać myśleć o Catherine.

– Z paszportu wynika, że nazywa się Heather Jones. Nic mi to nie mówi. Mówię ci, nie znam tej kobiety.

– Dlaczego więc udaje twoją żonę? – Cherish zamyśliła się i nagle zrozumiała wszystko. – Och, Boże! – jęknęła przerażona. – Twoi wrogowie! Szukali cię i znaleźli!

– Na to wygląda – przyznał zgnębiony. – Chcą dopaść...

– Królika? – bezsensownie wyrwało się Cherish.

– Przede wszystkim mnie.

Coś sobie przypomniała. Może to bez znaczenia, ale... Wskoczyła z łóżka i po chwili wróciła z pluszową zabawką w ręku.

– Słuchaj, Ziggy. Przedtem zawsze trzymałam królika tylko za uszy. Ale kiedy go tu przywiozłam, dotknęłam brzucha. Jest dziwnie wypchany. Zobacz sam. – Cherish zerwała się na równe nogi. Chwyciła nóż leżący na stole i wbiła go w pluszowego zwierzaka.

– Co robisz?! – wykrzyknął Ziggy.

Z nieopisanym zdumieniem obserwowali chmurę białego proszku, która uniosła się w powietrzu.

Bliższe oględziny rozprutego brzucha nieszczęsnego królika ujawniły, że nóż przeciął gruby, plastikowy worek.

– Narkotyki. Ktoś przemyca je w zabawkach – stwierdziła zaskoczona Cherish.

– I to w dużych ilościach. Tu było chyba z pół kilo tego świństwa. – Ziggy zamyślił się na chwilę, po czym wykrzyknął głośno:

– Przypominam sobie! Króliki! Różowe króliki! Tysiące tych zabawek w ogromnych skrzyniach ładowano na pokład statku płynącego do Stanów Zjednoczonych.

– Odkryłeś gigantyczny przemyt!

– A może w nim uczestniczyłem?

– Bzdura. Nie jesteś przecież kryminalistą – z przekonaniem w głosie powiedziała Cherish.

– Skąd wiesz? – spytał Ziggy.

– Wiem.

Sięgnęła po bluzkę. Ziggy przytrzymał jej rękę.

– A gdzie się podziała rozsądna, przezorna i podejrzliwa doktor Love? – zapytał z uśmiechem na twarzy.

– Nie gadaj, tylko się ubieraj.

„i Nie zważając na słowa Cherish, przyciągnął ją do siebie.

– Jesteś tego pewna? – zapytał szeptem.

Wiedziała, co Ziggy ma na myśli.

– Tak.

Tym razem pocałował ją delikatnie i bardzo czule. Westchnął i sięgnął po szorty.

– Do ambasady narkotyku nie zabierzemy – powiedział po namyśle.

– Sądzisz, że Waterson ma coś wspólnego z przemytem?

– Czy nie zauważyłaś, jak bardzo zależało mu na tym, żeby jak najszybciej pozbyć się ciebie? Pozieleniał na twarzy, gdy wręczyłem ci królika.

– Ja...

– Słuchaj, czy kiedy po raz pierwszy dzwoniłaś do ambasady, rozmawiałaś bezpośrednio z Watersonem?

– Nie. Dopiero dwa dni temu, gdy ponownie telefonowałam, powiedziano mi, że sprawą tą zajmuje się osobiście radca handlowy ambasady o nazwisku Waterson.

– A co radca handlowy może mieć wspólnego z poszukiwaniem zaginionych ludzi? Przecież to nie wchodzi w zakres jego obowiązków!

Cherish ubrała się. Zapięła ostatni guzik bluzki.

– Jeśli Waterson jest wpłątany w tę aferę, powtórzył przemytnikom wszystko, co usłyszał ode mnie! – jęknęła z rozpaczą.

– Przecież nie mogłaś przewidzieć, co się stanie.

– Gdyby nie moje telefony do ambasady, Waterson byłby przekonany, że nie

żyjesz. A twoi wrogowie przestaliby cię szukać. A ja, idiotka, zadzwoniłam i wszystko wypaplałam! To moja wina!

– Nie rób sobie wyrzutów. Na twoim miejscu każdy postąpiłby identycznie.

– -Ociągałeś się z wejściem do ambasady. Od samego początku miałaś złe przeczucia. Czy dlatego oddałeś mi królika?

– Tak. Chyba tak. Czułem, że coś jest nie w porządku. – Ziggy westchnął i usiadł ciężko na łóżku. – Bałem się. To fakt. Ale najbardziej byłem przerażony tym, że ta okropna kobieta może okazać się moją żoną!

– Ja też się przeraziłam – przyznała się Cherish.

– Słuchaj, jeśli coś się wydarzy, to ja... Cherish włożyła pantofle.

– Mój drogi, wpakowałeś się w kabałę, i to nie w byle jaką. Nie wiesz nawet, kim są twoi wrogowie.

– Jestem przekonany, że ta baba zaciągnęła mnie do hotelu po to, żeby się przekonać, co zdołałem zapamiętać. Potem pozbyłoby się niewygodnego świadka.

Cherish poczuła, że robi się jej słabo.

– Przy mnie nie mogli cię załatwić – stwierdziła ze ściśniętym sercem.

– Jestem przekonany, że w ambasadzie nikt poza Watersonem nie wie, o co w tej sprawie chodzi – ciągnął Ziggy.

Cherish powzięła decyzję.

– Idziemy natychmiast do Grimly’ego. On nam pomoże.

Kiedy otwierali drzwi pokoju na korytarz, usłyszeli najpierw głośny huk, a potem trzask rozbijanych na dole drzwi wejściowych. Ruszyli po cichu w stronę wewnętrznych schodów.

W ciemnym korytarzu, tuż przy drzwiach gabinetu profesora, Ziggy złapał nagle Cherish za plecy i całym ciałem przycisnął ją do ściany.

– Kładź się i nie ruszaj – wyszeptał wprost do jej ucha.

W tym momencie dotarł do nich głos Grimly’ego:

– Grozi mi pan rewolwerem? – ryknął do kogoś, kto znajdował się razem z nim w pokoju.

Po ciemku Cherish podniosła się i usiadła na ziemi. Ziggy nadal stał nieruchomo. Nadsluchiwali. Drzwi do gabinetu Grimly’ego były lekko uchylone.

Dobiegł ich teraz stalowy głos Watersona:

– Gdzie jest Ziggy Masterson?

– Kto? – głośno warknął profesor.

– Ziggy. Przyjechał do Belize z doktor Love – odparł radca handlowy ambasady.

– Pyta pan o tego łajdaka, przez którego ta głupia kobieta tak cholernie zaniedbała się w pracy? A skąd, do diabła, mogę wiedzieć, gdzie ten facet teraz jest?! – wykrzyknął rozzłoszczony Grimly. – Podobno został w ambasadzie z jakąś rudą, okropną kobietą. Och, czyżby chodziło o panią? – dodał po chwili. A więc Heather Jones też tu jest! uprzytomniła sobie Cherish.

– Ziggy dał doktor Love coś, co do nas należy. Gdzie ona jest? – zapytał Waterson.

– Nie mam pojęcia – warknął Grimly.

– Mówiła, że tu jedzie.

– Zjawiała się, a jakże. Ale nie mam zamiaru tolerować ludzi leniwych i nieodpowiedzialnych. Wyrzuciłem ją z pracy.

– Kłamie pan, profesorze. Chce pan chronić swą skórę – sucho oświadczył Waterson.

– Proszę natychmiast się stąd wynosić! – ryknął profesor Corridor. – W przeciwnym razie użyję siły.

– Jak pan zamierza to zrobić? – Waterson miał dość tej rozmowy. – Przecież to ja mam broń, a nie pan.

W tym momencie kątem oka Cherish dostrzegła ogromną postać wynurzającą się z ciemnego korytarza. Olbrzym podszedł błyskawicznie do Ziggy'ego, zwróconego twarzą w stronę gabinetu, i potężnym drągiem uderzył go w głowę.

Ziggy zakołysał się i padając uchylił szerzej drzwi gabinetu. W tym momencie znajdujący się w środku Waterson odwrócił się i strzelił do niego. Cherish krzyknęła przeraźliwie. Zerwała się i podbiegła do Ziggy'ego. Upadł na podłogę, pociągając ją za sobą.

Juan z drągiem w ręku przeskoczył przez leżących i rzucił się na Watersona. W tym czasie Grimly, korzystając z powstałego zamieszania, uderzył zniemacka i obezwładnił człowieka z obstawy Watersona. Rewolwer radcy handlowego wypalił ponownie. Tym razem był wycelowany w Juana. Postrzelony olbrzym zachwiał się lekko na nogach, lecz podniósł w górę drąg i po chwili Waterson i drugi człowiek z jego obstawy leżeli nieprzytomni na podłodze. Przerazona Heather Jones schowała się w kącie pokoju.

Cherish podniosła się. Zobaczyła, że Ziggy krwawi. Zdjęła bluzkę, zwinęła w kłębek i próbowała tamować płynącą z rany krew.

– Dzwonię na policję – oświadczył Grimly.

– Najpierw wezwij karetkę! – wykrzyknęła Cherish.

– Czy żyje?

– Tak. Ale chyba stracił przytomność. I bardzo krwawi.

Ziggy jęknął głośno. Otworzył oczy. Poruszył ustami.

– Nic nie mów. Leż spokojnie – błagała Cherish.

Strumień łez spływał po jej twarzy.

– Zapamiętaj numer mojej karty ubezpieczeniowej. Zaraz ci go podam. Wiesz, jak to ze szpitalami bywa – powiedział słabym głosem. – Już wiem. Wszystko. Nazywam się... Cornelius Ziegfeld Masterson III.

Pochylił głowę i zemdłał.

Rozdział 11

Potem działo się mnóstwo rzeczy. Pogotowie zabrało Ziggy'ego do szpitala, gdzie wzięto go natychmiast na salę operacyjną. Kiedy na chwilę odzyskał przytomność, poprosił Cherish, aby zadzwoniła na Florydę. Podał jej telefon siostry.

Clowance Masterson O'Grady, bo tak przedstawiła się rozmówczyni, oświadczyła Cherish, że ze względu na zaawansowaną ciążę sama przyjechać do brata nie może, ale że w Belize zjawi się natychmiast inny członek rodziny. Wyglądało na to, że nikt z krewnych Ziggy'ego nie miał pojęcia o jego zaginięciu.

Dopiero po odłożeniu słuchawki Cherish uprzytomniła sobie drugie nazwisko swej rozmówczyni: O'Grady. Czyżby Clowance miała coś wspólnego z „Lusty Wench” i Michaelem O'Gradem? Jest żoną tego kryminalisty?

Ze szpitala Grimly zawiózł Cherish z powrotem do instytutu.

– Teraz musisz coś zjeść i się przespać. Lekarze mówią, że nic mu nie będzie. Wyjdzie ze szpitala za kilka dni – uspokajał w samochodzie zdenerwowaną dziewczynę.

Spała aż do popołudnia. Potem znów pojechała z Grimlym do szpitala.

– A więc facet, którego pielęgnowałaś na Voodoo Caye, to Masterson – powiedział Grimly, kiedy szli do chorego. – Powinienem od razu go rozpoznać. Jest podobny do ojca.

– Znasz Mastersonów? – spytała zdziwiona Cherish.

– Oczywiście. Sfinansowali moje obie wyprawy do amazońskiej dżungli.

A więc byli bogaci. Ziggy miał rację, pomyślała.

– Stary Masterson poprosił mnie – ciągnął Grimly – żebym na drugą wyprawę zabrał jego wnuka. Nie podobało się to ojcu chłopaka. Ziggy miał wtedy osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Właśnie wyrzucono go z uczelni. Za jakiś kretyński dowcip. O ile dobrze pamiętam, wpuścił małpę do biblioteki uniwersyteckiej.

– To do niego podobne – roześmiała się Cherish.

– Kim są Mastersonowie? – spytała Grimly'ego.

– Mają dużo pieniędzy?

– Są cholernie bogaci. To szanowana rodzina, z dużymi tradycjami, mająca ogromny majątek. Ocenia się go na czterysta milionów dolarów. Do Mastersonów należy wiele przedsiębiorstw. Mają sieci sklepów, fundacje, hotele...

Grimly, zawsze potrzebujący finansów na swoje wyprawy, miał, jak widać, świetne rozeznanie.

– Czteryście milionów dolarów! Aż takie ogromne pieniądze! – Cherish była zaskoczona. Nic dziwnego, że Ziggy miał porsche i pięknego konia arabskiego oraz że bywał u Maxima i Ritza. A ona mu nie wierzyła.

Usłyszała głos Grimly'ego:

– Teraz, kiedy uratowaliśmy młodego Mastersona, jego rodzina powinna nas solidnie wesprzeć finansowo.

Znaleźli się pod drzwiami pokoju, w którym leżał Ziggy.

– Pozwól mi wejść samej – poprosiła Cherish profesora.

Mruknął pod nosem, że i tak stracił już zbyt wiele czasu, odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Jak dobrze, że jesteś! – ucieszył się Ziggy na widok Cherish.

Siedział na łóżku, ubrany w szpitalną koszulę. Miał obandażowane całe ramię. Był w dobrym nastroju.

Cherish podeszła bliżej. Chciała uścisnąć chorego. Dopiero teraz zobaczyła siedzącą obok jego łóżka kobietę.

Ziggy dokonał prezentacji.

– Catherine Masterson. A to doktor Love.

Cherish spojrzała na wytworną, młodą damę o subtelnych, arystokratycznych rysach twarzy.

– Catherine? – powtórzyła zaskoczona. A więc jednak jest żonaty!

– Moja siostra – dodał szybko Ziggy, widząc wyraz zaskoczenia na twarzy dziewczyny. – Moja druga siostra.

To od niej otrzymałem zegarek na trzynaste urodziny.

Z elegancką damą Cherish przywitała się chłodno.

– Czy nie martwiła się pani o brata? – spytała z wyrzutem. – I nikt z rodziny go nie szukał?

– Nie miałam pojęcia, że zaginął – odparła spokojnie Catherine. Na jej pięknej twarzy nie malowały się żadne uczucia. – Może zechce pani spocząć, doktor Love? Ziggy...

– Ziggy? Czy tak rzeczywiście zwracają się państwo do niego? – zapytała zdziwiona Cherish.

– A czy jest lepsze wyjście? – odezwał się chory.

– Cornelius Ziegfeld brzmi przecież jeszcze gorzej – dodał zrezygnowanym głosem.

– Wielu rzeczy nie rozumiem. – Cherish pragnęła usłyszeć dalsze wyjaśnienia.

– Nasza najmłodsza siostra, Clowance – zaczął Ziggy – rok temu wyszła za mąż. Za faceta, który zajmował się poszukiwaniem skarbów. Z zatopionych statków. Często razem z nim pracowałem. Nurkowałem, pływałem po morzu...

– Co robiłeś na „Lusty Wench”?

– To moja łódź. Odkupiłem ją od szwagra.

– Od szwagra Clowance – chłodno wtrąciła Catherine. Michael jest bratem jej męża – wyjaśniła.

– Tak. Facet był na bakier z prawem. I wpadł.

– Ziggy zobaczył rozszalony wzrok siostry. – Nie patrz tak na mnie, Catherine. To naprawdę nie moja wina.

A więc odkupiłem łódź od Michaela, bo potrzebował pieniędzy na dobrego adwokata.

– Gdzie jest teraz „Lusty Wench”? – spytała Cherish. – Zatonęła?

– Ludzie Watersona pozostawili ją gdzieś u bezludnych wybrzeży Meksyku – wyjaśniła Catherine. – Zamierzali zabić Ziggy’ego i upozorować jego śmierć na morzu.

– Skąd pani o tym wie? – spytała zdumiona Cherish.

– Od policji. Przesłuchali Watersona i jego... narzeczoną, Heather Jones. Oboje zgodzili się współpracować z policją. Wydali resztę członków przemytniczej siatki.

Ziggy ma rację, pomyślała Cherish. Jego siostra rzeczywiście jest chodzącą doskonałością. Ledwie dotarła do Belize, a już dowiedziała się wszystkiego. A teraz, elegancko ubrana, siedziała obok łóżka brata. Niewzruszona i tak spokojna, jakby nic się nie wydarzyło.

– Wynajęłam pilota, żeby z powietrza odszukał „Lusty” – dodała Catherine. – Wiem, że masz słabość do tej łodzi.

– Chciałbym ją odzyskać – przyznał.

– Jak to się stało, że płynąłeś wzdłuż brzegów Belize?

– dalej pytała Cherish.

– Do akcji wydobywczej, którą mieliśmy niebawem rozpocząć, był nam potrzebny dodatkowy trawler.

Dowiedzieliśmy się, że tego typu łódź można wypożyczyć w Gwatemali. Popłynąłem więc tam „Lusty Wench”, żeby obejrzeć trawler i sprawdzić, czy będzie się dla nas nadawał. Uprowadziłem rodzinę, że po drodze zamierzam zwiedzić kilka małych wysepek na Karaibach, i to trochę potrwa. Dlatego nikt nie miał pojęcia, że zaginałem – wyjaśnił Ziggy.

– W jaki sposób nakryłeś przemytników?

– Zupełnie przypadkowo. Produkowali tysiące paskudnych, różowych królików, faszerowali je kokainą i drogą morską przemycali do Stanów. Jak się okazuje, właściciel łodzi był współnikiem Watersona, działającym w Gwatemali.

– A Waterson miał pieczę nad transportem wzdłuż wybrzeży Ameryki Środkowej. To zadanie ułatwiała mu znakomicie funkcja radcy handlowego naszej ambasady – dodała Catherine.

– Odkrycie przeze mnie całej afery było czystym przypadkiem. Ukradłem jednego królika. Chciałem mieć w ręku dowód rzeczowy, żeby pokazać go władzom – ciągnął Ziggy. – Ale mnie nakryli. Musiałem więc jak najszybciej uciekać z Gwatemali. Liczyłem na to, że uda mi się skontaktować z morską strażą graniczną. Ale nic z tego nie wyszło. Dogonili „Lusty Wench”. Stało się to tuż przy południowym wybrzeżu Belize. Skrępowali mnie i uwięzili pod pokładem. Usiłowali nawiązać kontakt radiowy z szefem szajki, żeby otrzymać dalsze instrukcje co do mojej osoby. Wtedy właśnie rozpętał się potworny sztorm. Mieli kłopoty z radiem. Zeszliśmy z kursu.

– Czy pamiętasz, co było potem? – spytała Cherish.

– Tak. Usłyszałem, że zamierzają mnie zabić. Wyskoczyłem więc za burtę. Nie miałem innego wyjścia. Facetów było czterech. Uzbrojonych po zęby. Trzymali mnie związanego przez dwanaście godzin podczas szalejącego sztormu. Sami pochorowali się w tym czasie na morską chorobę.

Następnie Ziggy opowiedział, jak udało mu się uwolnić z więzów rękę i wyswobodzić. Później stoczył walkę z jednym z przeciwników, który pchnął go nożem. W końcu rzucił się do morza. Z kołem ratunkowym i królikiem. Co było potem, nie pamiętał. Nie wiedział, w jaki sposób znalazł się na Voodoo Caye.

Cherish podeszła do łóżka.

– To straszne, co przeżyłeś! Nic dziwnego, że po takim szoku straciłeś pamięć.

– Jestem bardzo biedny i chory – jęknął Ziggy. – I nikt mnie nie kocha – dodał z udawanym rozżaleniem. – Chyba zasłużyłem na to, żebyś mnie pocałowała?

– Na mnie już czas – odezwała się Catherine. Podniosła się z krzesła. – Ziggy, lada chwila spodziewaj się dziadka. Do zobaczenia, panno Love. Sądzę, że jeszcze się spotkamy.

Po wyjściu siostry Ziggy chwycił Cherish za rękę.

– Pocałuj mnie.

Zrobiła to. Fakt, że dowiedziała się, kim jest Ziggy, w niczym nie umniejszył przyjemności.

– Jeszcze raz – poprosił. – Ale najpierw powiedz, co stało się z tym olbrzymem, który nas uratował. Żyje?

– Tak. I już ma się dobrze. Lekarze wyciągnęli kulę.

– A co z twoim szefem?

– Był wściekły, że przerwano mu pracę. Ale szybko się uspokoił. Tego człowieka nic nie jest w stanie na dłużej wyprowadzić z równowagi.

– Bardzo mi przykro, Cherish, że wpakowałem cię w całą tę kabałę. Nie powinienem dawać ci królika. Jak sobie pomyślę, co by się stało, gdyby...

– Już po wszystkim.

– Pocałuj mnie. Dopiero to mnie uspokoi. – Nie pierwszy raz Ziggy stosował metodę szantażu.

– Za chwilę. Czy już wiesz dokładnie, kim jesteś?

– Oczywiście. Mam trzydzieści dwa lata. Nie jestem żonaty. Rozrabiałem w młodości, ale chyba nigdy nie uczyniłem nic takiego, czego powinienem się wstydzić. Gry w karty nauczył mnie dziadek. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, wyrzucono mnie z uczelni, ale trzy lata później skończyłem studia. Zrobiłem to tylko dlatego, że ojciec nie chciał dopuścić mnie bez dyplomu do prowadzenia rodzinnych interesów. Co jeszcze mógłbym ci powiedzieć? – Ziggy zamyślił się na chwilę. – Zaproponowałem mieszkańcom Voodoo Caye zbudowanie małego hotelu chyba dlatego, że się na tym znam. Pracowałem w tej branży. Nadzorowałem budowę trzech hoteli należących do mojej rodziny. Właśnie zamierzałem otworzyć nowy hotel w Key West, ale... ale zmieniłem zamiar.

– Zmieniłeś? – Tak.

– Dlaczego?

– Daj spokój z tymi pytaniami! I nie zaczynaj znów prowadzić tych swoich babskich gier.

– Gier? Jakich?

– Zamierzasz udawać, że wcale nie liczysz na mój powrót na Voodoo Caye.

Serce Cherish zaczęło bić szybciej. – Ja... Ja...

– Zamierzasz udawać, że nie chcesz wyjść za mnie. Że nie wierzysz w moją miłość. Że wcale nie było ci przykro, kiedy się dowiedziałaś, iż już mam żonę. Że...

– Przestań.

W tym momencie rozległo się głośne pukanie. W drzwiach stanął profesor Corridor.

– Czujesz się lepiej? – zapytał pacjenta.

– Idź sobie, Grimly – poprosiła Cherish. – Ziggy właśnie mi się oświadcza.

– Idź sobie, Grimly – poprosił Ziggy.

– Oświadczaj? – gromkim głosem powtórzył profesor Corridor. – A więc chce się z tobą ożenić. To wspaniała wiadomość. Doktor Love, dopilnuj, żeby sporządził kontrakt przedmałżeński i wymienił w nim sumę, którą będzie zasilał corocznie nasz fundusz badawczy. Ma się rozumieć, z uwzględnieniem inflacji.

– Idź już sobie, Grimly.

Profesor Corridor uśmiechnął się szeroko.

– Zatrudniając ciebie, panno Love, miałem prawdziwego nosa. Zrobiłem to, mimo że wyglądasz jak girlsa z nocnej knajpy w Las Vegas.

Ziggy rzucił poduszką w zamykające się drzwi.

– Od tej pory sam będę pilnował, żeby wszyscy mężczyźni zwracali się do ciebie z należnym szacunkiem – oświadczył.

– Posuń się trochę – poprosiła. Wsunęła się do łóżka.

Zaczęli się całować. Robili to coraz bardziej namiętnie.

– Szybko cię stąd wypuszczają? – spytała Cherish z nadzieją w głosie.

Ziggy zaczął rozpinąć pasek przy jej szortach.

– A dlaczego mielibyśmy czekać?

– Nie, teraz nie możemy się kochać. Nie tutaj.

– Czemu nie?

– Bo... bo ktoś może wejść – szepnęła jednym tchem.

– Kto? Pielęgniarki? – Machnął lekceważąco zdrową ręką. – One świetnie wiedzą, co robią mężczyźni i kobiety, kiedy są ze sobą – odparł beztrzesko.

Wsunął dłoń pod bawełniane majteczki Cherish.

– Och! – jęknęła. Nie potrafiła oprzeć się Ziggy'emu. – Jesteś przecież chory. A co będzie z twoim zranionym ramieniem? – zapytała słabym głosem.

– Nic mu się nie stanie. Sądzę, że jakoś sobie poradzisz. – Przyciągnął dłoń Cherish do podbrzusza. W tej okolicy jego ciało było idealnie zdrowe.

Zacisnęła lekko palce. Jęknął z wrażenia.

Upłynęło dobre kilka minut, zanim znów się odezwała:

– Już wiem, co dostaniesz ode mnie w prezencie ślubnym, mimo że jesteś człowiekiem, który ma wszystko.

Pocałował ją w czoło.

– Co mi kupisz? – zapytał.

– Przyzwoite łóżko do chaty na Voodoo Caye.

Ziggy roześmiał się głośno.

– Cherish, czy kiedykolwiek mówiłem ci, że jesteś bystra?

– Raz, a może dwa. Dokładnie nie pamiętam. Ale teraz powiedz mi, jak bardzo mnie kochasz.

Powiedział.